TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 46 (1040)
13 LISTOPADA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

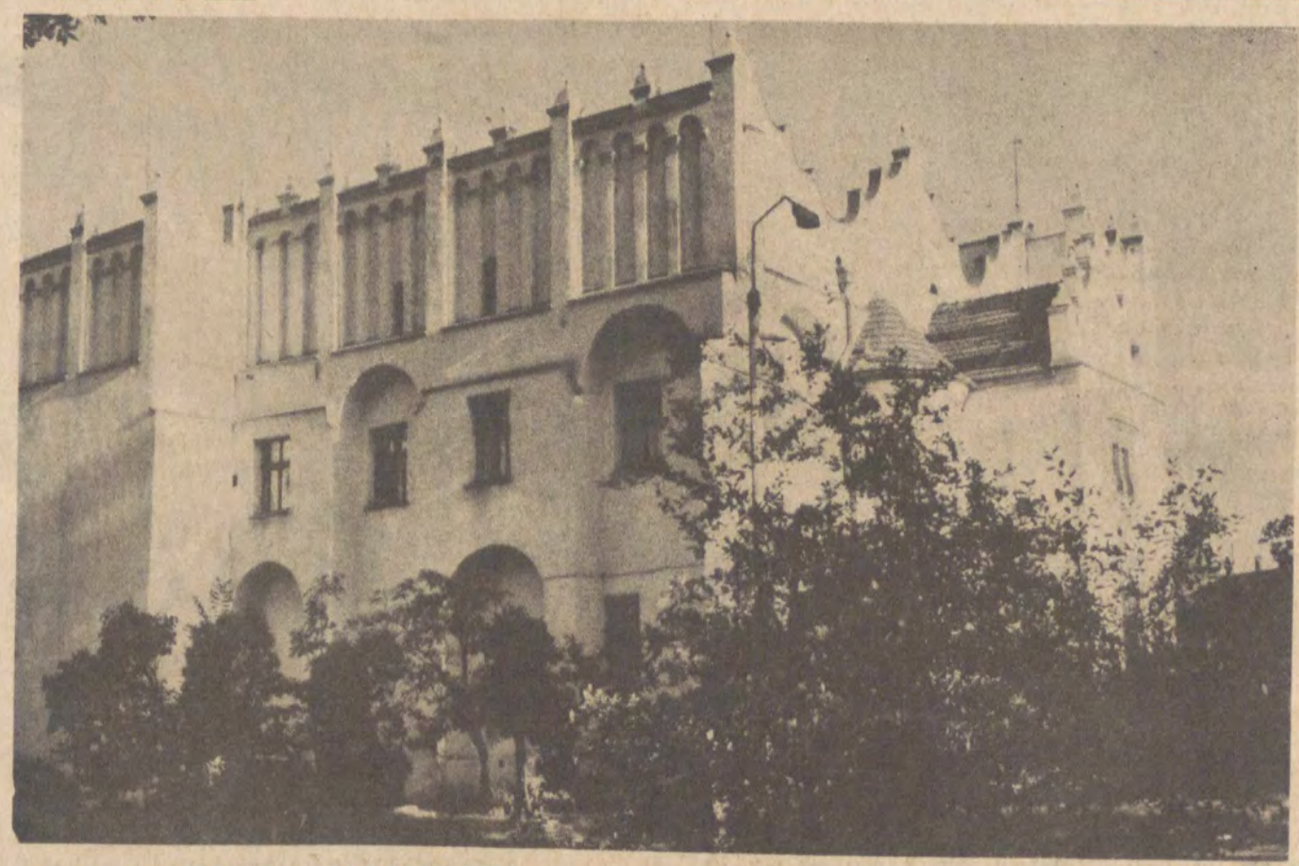

EUGENIUSZ IWANICKI

PO PROSTU: MUZEUM

Historia zamku pabianickiego jest długa. Opisuje go Długosz, wzmiankują o nim i późniejsze zapisy kronikarskie. Drewniany spłonął w XVI w., a na jego miejscu wzniesiono murowany, obronny z 30 osobową załogą i armatkami. W ciągu długich lat przechodził różne koleje: był siedzibą zarządu pruskiego, mieszkali tu naddzierżawcy ekonomii pabianickiej, później użytkowali go tkacze, w końcu zamieniono go na ratusz. Po ostatniej wojnie znalazło tu siedzibę Muzeum Regionalne. Od tej chwili datuje się najpiękniejszy okres w dziejach tej budowli.

Muzeum w Pabianicach zostało powołane do życia w 1907 r. przez sekcję muzealną Polskiej Macierzy Szkolnej. Głównym inicjatorem tej myśli był dr W. Eichler. W 1910 r. zorganizowano w nim pierwszą wystawę czasową o tematyce przeciwalkoholowej. Mieściło się muzeum w Domu Ludowym przy ul. Kościuszki. Przechodziło różne koleje, rozrastało się. Ale dopiero po ostatniej wojnie nastąpił jego najburzliwszy, a zarazem najpiękniejszy rozwój. Pierwszym organizatorem Muzeum w owym trudnym okresie był Władysław Godlewski.

W roku 1953 pabianickie muzeum przechodzi gruntowną reorganizację: otrzymuje statut i rozpoczyna działalność naukową. W tymże roku, z nakazu pracy, przybywa tu Maria Kepler, fanatyczna miłośniczka „poszerzania ludzkich horyzontów poprzez sztukę".

Tak, licząc z grubsza, przedstawiają się dzieje największej i najpoważniejszej placówki kulturalnej miasta Pabianic.

NA ŚMIETNIK TE SKORUPY!

Przez długie lata trwa mrówcza praca nad powiększaniem zbiorów. Personel składa się z dwóch osób: kustosz — **Maria Kepler** oraz **Maria Szynkowa** jako pomocnik muzealny (czytaj: pracownik fizyczny). W mroźne zimy początku lat pięćdziesiątych obie kobiety dokonują cudów zapobiegliwości chroniąc eksponaty. W nocy temperatura w pomieszczeniach spadała poniżej zera, zamarzała formalina w słojach (rano trzeba było je znosić na śmietnik i palić), w biurze termometr wskazywał +5 st. C. Nieustanne kłopoty z ogrzewaniem budynku, troska o zbiory (zamek nie miał zabezpieczenia p. poż.). Dwie kobiety nie opuszczały muzeum. Dzień i noc trwała walka o ocalenie bezcennych zbiorów. Z czasem przybywa jeszcze jeden pracownik — etnograf **Jan Kepler**. W pięć lat po nim — archeolog **Maria Jażdżewska**, pionierka badań archeologicznych na ziemi byłego powiatu łaskiego.

Pomoc władz miejskich Pabianic kształtowała się różnie: jedni pomagali, inni ignorowali muzeum, a był i taki wysoki urzędnik, który przy lada okazji wołał, by zebrane w zamku „skorupy" wyrzucić na śmietnik, a w renesansowym, XVI-wiecznym

Dalszy ciągna str. 5

JERZY BOŃCZAK

MEDYCYNA SPOD ZNAKU SWASTYKI

Bogata, aczkolwiek niepełna, jest literatura na temat medycyny hitlerowskiej. Pisali o niej zarówno Niemcy, jak i przedstawiciele innych narodów, przytaczając potworne zbrodnie popełnione przez tych, którzy postawili swastykę przeciwko lasce Eskulapa. Niniejszy artykuł stanowi zaledwie fragmentaryczne przypomnienie przestępczego procederu lekarzy-zabójców, których zbrodni nie powinny przysłonić ani czas, ani próby demonstracyjnych rehabilitacji, wciąż podejmowanych przez ugrupowania rewizjonistyczne i neonazistowskie w RFN.

Dalszy ciąg na str. 10

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KORONA W BUENOS AIRES

(KORESPONDENCJA Z ARGENTYNY)

W Domu Polskim przy ulicy Serrano 2076 mieści się na kilku piętrach wiele rozmaitych placówek. A więc: oprócz wspomnianej już i najbardziej uczęszczanej restauracji oraz wspomnianego już, wojującego z komunizmem tygodnika, znajdziesz tu sekcje sportowe i artystyczne, bibliotekę, salę teatralną, Stowarzyszenie Inżynierów i Techników Polskich, Klub Polek, Chorągwię Harcerską, Polską Macierz Szkolną, Związek Inwalidów Wojennych i coś jeszcze.

Budynek jest okazały, starannie utrzymany, czysty, a ludzie, którzy tam pracują, sprawiają wrażenie całkowicie oddanych sprawie. Może zatem GŁOS POLSKI niezbyt wiernie odzwierciedla nastroje emigrantów? Dowiaduję się przecież w Stowarzyszeniu Inżynierów, że kilka razy w roku odlatują do Polski wycieczki grupowe, objęte specjalnym kredytem, i choć nie jest to impreza tania, rzadko kiedy brakuje amatorów...

— Był pan w Polsce?
— Tak.
— I jak się panu podobało?
— Bardzo. Spotkałem rodzinę, odwiedziłem Warszawę, Poznań, Kraków, Zakopane...
— Nie chce pan wrócić?
— Na stałe?
— Aha.
— Wie pan, może bym i wrócił, ale moja żona jest stąd, kocha Argentynę... — Pauza. I po chwili on zaczyna wypytywać mnie: — No, a jak panu się podoba Buenos Aires?
— Samo miasto bardzo mi się podoba.
— Prawda?... Wszyscy mówią, że jest piękniejsze od Londynu...
— Może i tak.
— A od Paryża?
— Wie pan, trudno powiedzieć...
— No, pewnie. Warszawa też jest piękna, nie przypuszczałem... Chyba bym wracał, gdyby nie żona, wierzy mi pan?

W pomieszczeniach Polskiej Macierzy Szkolnej poznaję panią Irenę Stachurę — sekretarza tej organizacji oraz działacza polonijnego. Już noc, a ona segreguje pracowicie dokumenty, podręczniki, książki.

— Naprawdę jest pan stewardem?
— Naprawdę.
— Z GAŁCZYŃSKIEGO?
— Tak.
— No, no!... uśmiecha się powątpiewająco, ale serdecznie. — W takim razie zapraszam pana na kolację, zadzwonię po męża.
— Nie chciałbym sprawiać kłopotu.
— Jaki tam kłopot. W tamtym roku, kiedy było Mazowsze, spędzali u nas cały wolny czas. Od razu po występie przychodzili. Jedliśmy, piliśmy, plotkowaliśmy do białego rana.
— Dosyć to chyba męczące?
— Co pan mówi! Żaden Polak nie jest nigdy męczący. To dla nas wielkie święto.

Luksusowy wóz pana Stachury zabiera nas spod Domu Polskiego. Ro-

Dalszy ciąg na str. 8

TOMASZ SOLDENHOFF

JEDNA NOC na BUDOWIE WIEŻOWCA

CZYTAJ NA STRONIE 6

REFLEKSJE

PIELGRZYMKI DO ALBERTA SPEERA

Wielu z nas ten miesiąc pamięta. Zawsze w te wrześniowe dni spoglądamy w niebo. W tamte dni było jasne. Było bezchmurne. Było zadziwiająco ciepłe. Z rozsłonecznionego nieba ziało wtenczas śmiercią i zniszczeniem. To te wrześniowe skojarzenia sprawiły, że z taką uwagą przeczytałem w hamburskim tygodniku „Die Zeit" reportaż o Albercie Speerze.

To przecież Speer stał na czele tych wszystkich fabryk, które zasilały hitlerowską machinę wojenną w czołgi, armaty, łodzie podwodne i właśnie samoloty. Hitler wyróżniał Speera na każdym kroku. Darzył go osobistą sympatią. Ufał mu całkowicie. Sądzi się dość powszechnie, że gdyby nie Speer, człowiek o fantastycznych zdolnościach organizacyjnych, Hitler by w ogóle nie mógł prowadzić tej najstraszniejszej z wojen. W każdym razie nie mógłby jej ciągnąć przez tak potwornie długie dla nas lata. Sam Hitler nie dokonałby niczego. Wygrzebał wpierw Goebbelsa, szatana w demagogii i propagandzie. Potem Schachta, geniusza od finansów. Wreszcie wyszukał Speera.

To oni wszyscy tę zbrodnię na ludzkości przygotowywali.

Dali Hitlerowi broń do ręki.

Jeśli Speerowi dziś czego brakuje to chyba ptasiego mleczka.

Speer zamieszkuje wygodną willę, położoną nad Neckarem w Heidelbergu, na wzgórzu, za średniowiecznym zamkiem, w cudownie pachnącym lesie, przepełnionym rozśpiewanym ptactwem. Speer wyzbył się dawnej bezczelności i arogancji. Stał się układny. Ma wieczny uśmiech przylepiony do twarzy. Codziennie przyjmuje gości. Odwiedzają go uczeni, studenci, przyjaciele, dawni „Kampfgenossen", więc towarzysze broni. Aby zaś nikt nie pogubił drogi, na ogrodzeniu speerowskiej willi zawisła wielkich rozmiarów tablica z lakonicznym napisem — „A. Speer". — I nic więcej. Czy nie starczy samo nazwisko? Speer, prawa ręka fuehrera, Speer, który w czasie wojny nakręcił zbrojenia do nieprawdopodobnych obrotów.

Zaraz po wyjściu z przestronnej celi w Spandau, w której z wyroku Norymberskiego Trybunału spędził 20 lat, Speer opublikował swoje „Erinnerungen" — Wspomnienia. Książka stała się z miejsca bestsellerem. Ten człowiek trzykrotnie zrobił w życiu karierę. Pierwszą jeszcze przed ukończeniem 30 lat, kiedy to Hitler mianował go swym nadwornym architektem. Speer opracowywał dekoracje do osławionych norymberskich „Parteitage". On wznosił z polecenia fuehrera co okazalsze gmachy, aby uwypuklić chwałę i wspaniałość „Trzeciej Rzeszy".

Drugą karierę zrobił Speer już w czasie wojny. Jako minister zbrojeń zarządzał niemal do końca wojny całym niemieckim przemysłem. Trzecią karierę zrobił Speer na pisaniu pamiętników. Grube miliony wniosły mu „Wspomnienia" i wydane w 1975 r. „Pamiętniki ze Spandau". Dziecko szczęścia? Możliwe. Gdy inni zbrodniarze wojenni poszli na szubienicę, Speer od stryczka się wywinął. Przyznając się w Norymberdze częściowo do winy i wdziewając zawczasu szatę pokutnika, Speer wywarł na sędziach tak dodatnie wrażenie, że puszczono go z życiem. Nie był to werdykt jednomyślny. Związek Radziecki i Ameryka były za karą śmierci. Anglia i Francja za karą więzienia. Ostatecznie Speer poszedł za pokutnicze kratki.

Speer utrzymuje w swych pamiętnikach, że czas spędzony w Spandau „war zweifellos eine positive Zeit", był okresem bez wątpienia dlań korzystnym. Obchodzono się z nim niezwykle humanitarnie. Niczego mu nie brakowało. Strażnicy byli przyjaźni. Speer twierdzi, że czytał w Spandau ogromnie dużo, codziennie do 22. Był to dla niego „Reifeprozess", proces dojrzewania. Stał się innym człowiekiem. Być może. Faktem jest, że Speer opuścił Spandau w znakomitej formie. Zaczął nowe życie z werwą i impetem.

Speer uważa, że ma jeszcze wiele do powiedzenia.

Kompletuje teraz materiały do wielkiego dzieła o architekturze „Trzeciej Rzeszy". Pisze też bez pośpiechu jeszcze jedną książkę o wpływie alianckich bombardowań na niemiecki przemysł zbrojeniowy. Przypuszczalnie obie te pozycje zyskają licznych czytelników. Architektura i zbrojenia. Nikt na tym lepiej od Speera kiedyś w Niemczech się nie znał. Wydawcy go ponaglają.

Początkowo Speer zamierzał wrócić do architektury. Był przecież z wykształcenia architektem właśnie. Kiedy się jednak pokręcił po odbudowanych po wojnie nadreńskich miastach, machnął na to ręką. To nie dla mnie — orzekł. — To poniżej godności szanującego się architekta budować te ohydne „Seifen-Kisten", te skrzynki na mydło. Architektura umarła. Grube ryby państwa „gospodarczego cudu" składali wiele ofert na ręce Speera. Pamiętali o nim. Był dla nich kimś. Widzieli wszak na własne oczy jakie stawiał ongiś monumentalne gmachy.

To Speer miał przed kilku laty zbudować w Monachium największą w świecie piwiarnię — Bierkellerei. Po namyśle i tę ofertę odrzucił.

Speer to dziś człowiek finansowo niezależny. Lubi pozować na przeciwnika Hitlera. Prowadził zbrojenia, to prawda, ale cała reszta go nie interesowała. To nie był jego byznes. Odwiedzają go historycy, którzy wciąż penetrują zatrważające dzieje hitlerowskiego Reichu. Herr Speer jest do usług. Wyjaśnia i tłumaczy. Kiedy robi honory pana domu, nigdy nie zapomina podkreślić z dużym naciskiem, że on stał poza tym i wyżej tego. O niczym nie wiedział. Wcale nie uczestniczył w odprawie hitlerowskich prominentów w Poznaniu, kiedy to fuehrer z cyniczną otwartością ujawnił, że podjął akcję zmierzającą do ostatecznego zlikwidowania Żydów w Europie. On Speer znajdował się wtedy w drodze do Prus Wschodnich.

Kto chce niech wierzy.

Speer przywdziewa dziś strój oświeconego liberała, któremu leży na sercu dobro całej ludzkości. Niedawno wyraził ubolewanie z powodu błędnego kierunku jaki obrała współczesna nauka. Jest cały przepełniony też nieufnością do osiągnięć techniki. Solidaryzuje się z przeciwnikami elektrowni atomowych. Nadmiar techniki, dowodzi Speer, dehumanizuje człowieka. Speer podał do wiadomości, że twórca rakiet i jego przyjaciel Wernher von Braun przesłał mu tuż przed śmiercią znamienny list. Wernher von Braun był również zdania, że technika może ludzkość zgubić. Ciekawe, prawda? Przecież to Speer doradzał w 1945 r. w obozie dla internowanych właśnie von Braunowi współpracę z Amerykanami. — Niech pan na to idzie — potwarzał Speer. — Niech pan się zgodzi na amerykańską propozycję. „Die sind so verrueckt wie Sie". Oni są tak samo zwariowani jak pan.

Speer pozuje dziś na światowca, który patrzy na rzeczywistość obiektywnie i bez uprzedzeń.

Ostatni film o Hitlerze nakręcony przez Joachima Festa nie spodobał się Speerowi. — Tego rodzaju film dokumentalny nie odzwierciedla prawdy historycznej — oświadczył Speer. — Przecież autentyczne zdjęcia, które w tym filmie wykorzystano, są dziełem reżimu, który dążył do tego by się pokazać z jak najlepszej strony. Kręcono je kiedyś z pewnym określonym zamiarem. Gdyby wyświetlono chociażby pięciominutową wstawkę z rozmowy Hitlera z Himmlerem, wówczas stanęlibyśmy wszyscy oko w oko z całkiem inną rzeczywistością.

Patrzcie tylko jakim surowym krytykiem Hitlera stał się Speer.

Nie wszyscy jednak na ten lep wziąć się dają. Pamiętają ci spośród 7 mln niewolników, którzy przeżyli. Popędzano ich do lagrów z wszystkich okupowanych krajów. Zagnano do speerowskich fabryk zbrojeniowych. Na myśl o Speerze tych ludzi ogarnia wściekłość.

Bez Speera Hitler niczego zdziałać by nie mógł.

Doprawdy szatańskie jakieś moce kazały Hitlerowi zwrócić swą uwagę właśnie na Speera. Lepszego wyboru Hitler zrobić nie mógł. Speer się sprawdził. Dokonywał właściwie niewiarygodnych cudów. Mimo dywanowych bombardowań, które Anglosasi rozszerzyli na wszystkie ośrodki zbrojeniowe, Speer dostarczał Hitlerowi wciąż więcej czołgów i wciąż więcej i więcej samolotów. Przenosił fabryki w góry. Rył podziemne hale. Pakował do nich więźniów politycznych, jeńców wojennych, robotników pochwyconych w ulicznych łapankach. I produkował.

To Speer wykuł ten miecz, który Hitler trzymał przez kilka lat nad głowami narodów Europy.

Sam Speer przechwala się w swych „Wspomnieniach", że w ciągu pierwszych 6 miesięcy 1944 r. dostarczył na front blisko 13.000 samolotów myśliwskich. To mówi za siebie, jeśli się zważy, że hitlerowska Luftwaffe dysponowała we wrześniu 1939 r. tylko 779 myśliwcami. W 1941 r. wyprodukowano w Niemczech 11.000 samolotów. W 1943 r. już 34.000. Produkcja dział podskoczyła z 30.000 do 360.000. Za tym zdumiewającym wyczynem stał Speer. Nawet w styczniu 1945 r., kiedy już wszystko zaczęło się walić, Speer zdołał wyprodukować 1.700 czołgów i dział pancernych oraz 3.185 samolotów.

Speer, legitymacja partyjna „NSDAP" numer 474.481 liczy sobie dzisiaj 72 lata.

Wygląda na dużo młodszego. Ma czerstwą twarz, tryskającą zdrowiem. Jego oczy są żywe i bystre. Jest niestrudzony w odbywaniu długich, pieszych wędrówek po pięknym Rheinlandzie. Odpoczywa w swym przywillowym ogrodzie z bernardynem u nogi. Oddaje się chętnie wspomnieniom. On nic nie wiedział. Poszedł za Hitlerem, bo zdawało się, że świta jakaś nowa era. Czy mógł przewidzieć, że po drodze to aż tak się wypaczy?

Speer składa tłumaczenia. Pomagał hitlerowcom, no tak, ale równocześnie trzymał się na uboczu. Należał do „NSDAP", prawda, ale sercem i duszą był gdzie indziej. Żałosne to tłumaczenia. Niestety, znajdują zrozumienie wśród wielu obywateli Bundesrepubliki, którzy odbywają do Heidelbergu pielgrzymki, by choć raz jeszcze rzucić okiem na Speera. Na ostatniego z „wielkich" hitlerowskiej Rzeszy.

JAN BĄBIŃSKI

IMPREZY

„GALERIA MŁODEJ PLASTYKI" CZYLI WSPÓLNOTA ARTYSTYCZNA

Do tej pory nie zdarzyło się chyba, ażeby w Łodzi mieście zamożnym w uczelnie artystyczne studenci tych uczelni wystąpili wspólnie w jednym zdarzeniu kulturalnym. Fakt ten miał miejsce 5 listopada br. w Łódzkim Domu Kultury. A ściślej: Ośrodek Sztuki i Kultury Młodych, który tu powstał w programie swej działalności powołał do życia (oby szczęśliwego i długiego!) „Galerię Młodej Plastyki" dając młodym artystom możliwość prezentowania prac. Ci z kolei jak na dobrych i nie egoistycznych gospodarzy przystało, zaprosili za przyzwoleniem Prorektora Walentego Parczewskiego, studentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, a do nich przyłączyli się przyszli aktorzy z Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Wspólnie zaś pomyśleli, że są przecież w naszym mieście młodzi poeci i tak doszło do wspólnego publicznego występu. A choć i lampka wina była i uroczyste powitanie z-cy kierownika Wydz. Propagandy Jadwigi Wenndorf, Profesorów, Asystentów i zaproszonych gości, to nade wszystko tego jesiennego wieczoru królowała w skromnej salce ŁDK wspólnota młodych artystów.

By obraz był pełny zapiszmy dla potomności: Studenci PWSSP wystawili grafikę: Jolanta Ciesielska, Barbara Rosiak, Krzysztof Wawrzyniak. Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna zaprezentowała kwartet w składzie: Tomasz Bartosiak, Mirosława Frieman, Barbara Duda, Krzysztof Kiełbasiewicz. Na flecie grała: Helena Cierpińska, a na skrzypcach (laureat!) Józef Kolinek. Za zgodą dziekana Wydziału Aktorskiego Jana Zdrojewskiego i pod pedagogicznym opiekuństwem Profesora Aleksandra Benczaka wiersze poetów: Andrzeja Babaryko, Bohdana Jachowicza, Krzysztofa Smoczyka, Wojciecha Wiśniewskiego oraz Janusza Wojdeckiego — recytowali: Katarzyna Skawina, Anna Sobik, Tomasz Budyta i Igor Mielczarek.

Całość wieczoru przygotował i reżyserował student Wydziału Wokalno-Aktorskiego PWSM Ryszard Opacki.

Mam nadzieję, iż Czytelnicy „Odgłosów" wybaczą mi tę przydługą „listę obecności". Uważam, że warto było ją sporządzić.

Na koniec zapraszam do „Galerii Młodej Plastyki". Adres: Łódzki Dom Kultury, Traugutta 18, sala 306, III p. Wystawa będzie czynna od 5—25 listopada br., w godzinach 15 do 20.00.

M. SZ.

„BIBLIOFILSKA RADOŚĆ I PASJA"

Wśród jubileuszowych imprez, upamiętniających półwiecze bibliofilstwa w naszym mieście, staraniem Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki przygotowano wystawę szczególną w swym charakterze. Pod hasłem „Bibliofilska radość i pasja" członkowie Towarzystwa zaprezentowali swoje zbiory, a właściwie tylko ich fragmenty, reprezentujące po części główny profil kolekcji, książki szczególnie cenne, ekslibrisy, medale...

Wydobyte z bibliofilskich szaf i szuflad, eksponowane na wystawie przedmioty są materialnym świadectwem trudów i pasji kolekcjonerskich ludzi, którzy w pełni rozumiejąc wartość swoich poczynań, podtrzymują starą i piękną tradycję miłośnictwa książki. Zrozumiałe zainteresowanie wzbudził, niewielki wprawdzie, fragment kolekcji Jerzego Dunina-Borkowskiego z Krośniewic. Jest to bowiem zbiór pamiątek narodowej kultury, unikalny w skali polskiego bibliofilstwa, zasobny w stare księgi i rękopisy. Wśród książek pokazanych na wystawie przeważają zbiory o konkretnie określonym profilu tematycznym. Nierzadko powstawały one jako warsztat pracy naukowej, poszerzony o pozycje dawne, zabytkowe, stanowią kolekcje bibliofilskie dużej wartości, które potrafią wiele powiedzieć na temat osobistych zainteresowań ich właściciela. Niektórzy przedstawili książki szczególnie dla siebie cenne czy też najpiękniejsze okazy ze swoich zbiorów. Stosunkowo licznie reprezentowane były wytworne druki bibliofilskie, wydane w kraju i za granicą, szczególnie cieszące oko bibliofila. Jubileuszowa wystawa bibliofilska była w intencji organizatorów zarówno prezentacją osiągnięć kolekcjonerów — członków ŁTPK jak i upamiętnieniem ich wysiłków oraz zachętą do kontynuowania i rozszerzania pięknej i pożytecznej pasji. W planach wydawniczych Towarzystwa na najbliższą przyszłość figuruje katalog — przewodnik nie tylko po wystawie, ale również po łódzkich zbiorach bibliofilskich.

M. CZ.

KONKURS

Z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej Zarząd Główny SZSP i Zarząd Główny TPPR przy współudziale redakcji „ITD", „Nowego Medyka", „Politechnika", „Studenta" i „Przyjaźni" ogłaszają OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKO-PLASTYCZNY pt. „U ŹRÓDEŁ NOWEGO WIEKU". Organizatorom konkursu zależy na pracach poruszających problemy współczesnego świata, przemiany społeczno-polityczne, historię przyjaźni polsko-radzieckiej, uczestnictwo młodego pokolenia w tworzeniu nowych społecznych wartości. Konkurs obejmuje nie tylko prace związane bezpośrednio z Październikiem, jego bohaterami, ale również dotyczące spraw wynikających z jego idei.

Szczególnie zapraszani są młodzi twórcy, rekrutujący się ze wszystkich środowisk. Forma utworów jest dowolna **(cykl wierszy, poemat, proza poetycka, dziennik, zapiski, a w dziedzinie plastyki: obraz, plakat lub cykl grafiki). Można nadesłać kilka prac pod różnymi godłami.** Prace należy nadsyłać (do 15. XI. 1977 r.) pod godłami **(utwory literackie w 3 egz.),** dołączając zaklejoną kopertę wraz z imieniem, nazwiskiem i adresem na adres: Redakcja „NOWY MEDYK" ul. Oczki 7, 02-007 Warszawa (prace literackie), ZG SZSP, ul. Ordynacka 9, 00-364 Warszawa (prace plastyczne) — z **dopiskiem na kopercie „U ŹRÓDEŁ NOWEGO WIEKU". Rozstrzygnięcie konkursu — listopad 1977 r.**

Przewiduje się szereg wysokich nagród pieniężnych i wyróżnień. Nagrodą będą również wyjazdy do ZSRR.

Przewiduje się osobne wydanie nagrodzonych i wyróżnionych prac w oddzielnej edycji książkowej bądź albumowej.

REGULAMIN KONKURSU NA WSPOMNIENIA UCZESTNIKÓW WALK O WYZWOLENIE NARODOWE WARMII I MAZUR ORAZ WSPOMNIENIA Z PIERWSZYCH LAT POWOJENNYCH

Towarzystwo Przyjaciół „Gazety Olsztyńskiej" przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie, Towarzystwa Miłośników Olsztyna oraz redakcji miesięcznika kulturalnego „Warmia i Mazury" pragnąc zachować dla potomnych zapis wydarzeń oraz dokonań znaczących w historii regionu, ogłaszą otwarty konkurs na wspomnienia uczestników walk o wyzwolenie narodowe Warmii i Mazur oraz wspomnienia z pierwszych lat powojennych, lat odbudowy i rozbudowy miast i wsi, regionu zniszczonego przez wojnę. Organizatorzy żywią nadzieję, że z autentycznych, choćby cząstkowych, zapisów wydarzeń i dokonań przedstawionych na tle warunków politycznych, społecznych i kulturalnych uzyskają panoramę najnowszych dziejów Warmii i Mazur, wzbogacającą wiedzę, służącą nauce, budzącą dumę współczesnego pokolenia z bohaterskiej przeszłości tej ziemi i heroizmu walki i pracy jej mieszkańców.

Organizatorzy nie ograniczają kręgu tematycznego, okresu ani objętości wspomnień. Wskazane jest, aby we wspomnieniach obok indywidualnych losów autorów i ich przeżyć, wydarzeń i czynów, w których uczestniczyli znalazły się takie elementy poznawcze, jak: opis miejscowości, jej obyczaje, tradycje, losy bliskich i współtowarzyszy.

Prace nigdzie dotąd nie publikowane — w tym rękopisy — opatrzone godłem z załączoną zaklejoną kopertą oznaczoną godłem, w której powinny znaleźć się imię i nazwisko oraz dokładny adres autora, należy nadsyłać listem poleconym lub składać osobiście do dnia 15 kwietnia 1978 r. pod adresem: Towarzystwo Przyjaciół „Gazety Olsztyńskiej", 10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2, pok. 231. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo publikowania w całości lub fragmentach — po uzgodnieniu z autorami — zgłoszonych prac na łamach „Gazety Olsztyńskiej" oraz „Warmii i Mazur" przed oficjalnym ogłoszeniem werdyktu jury, honorując publikacje według obowiązujących stawek.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo opublikowania wybranych wspomnień — w uzgodnieniu z autorami — w oddzielnym zwartym wydawnictwie, zapewniając autorom honoraria zgodnie z obowiązującymi stawkami.

W skład jury oceniającego wspomnienia wejdą przedstawiciele organizatorów oraz Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Jury konkursu przyzna następujące nagrody:

I — 15.000 zł
II — 10.000 zł
III — 7.500 zł

5 wyróżnień po 3.000 zł oraz nagrodę specjalną Towarzystwa Miłośników Olsztyna — za najlepsze wspomnienia z działalności w Olsztynie — w wysokości 10.000 zł.

Organizatorzy zastrzegają jury prawo innego podziału ogólnej sumy przeznaczonej na nagrody.

Szczegółowe informacje na temat konkursu można uzyskać w Towarzystwie Przyjaciół „Gazety Olsztyńskiej", 10-417 Olsztyn, ul. Towarowa 2, tel. 302-77.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, EUGENIUSZ IWANICKI, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stale współpracują: JAN BĄBIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

ROLNICTWO

Powierzchnia gruntów przejmowanych na cele pozarolnicze osiąga co roku ponad 40 tys. ha. Walczymy z odłogami, rekultywujemy gospodarstwa podupadłe, stosujemy szeroko pojętą mechanizację i coraz wyższe nawożenie, lecz mimo to ziemia się kurczy.

RYSZARD BINKOWSKI

ZIEMIA SIĘ KURCZY

W najmniejszym w kraju, a jednocześnie najgęściej zaludnionym (719 osób na 1 km kw.), województwie miejskim, do roku 1980 ubędzie 3 tys. ha ziemi. Zostanie 100,7 tys. ha użytków rolnych, z których na 1 mieszkańca przypadnie 9 arów, podczas gdy wskaźnik krajowy wyniesie 55 arów.

Jeśli weźmie się pod uwagę fakty, iż ludność rolnicza w województwie miejskim stanowi zaledwie 6,5 proc. (duży odsetek tzw. dwuzawodowych) oraz nadmierne rozdrobnienie gospodarstw indywidualnych, stosunkowo niską klasę gleb, niedostateczne uzbrojenie techniczne i mierny poziom kwalifikacji rolników, to tym większego znaczenia nabierają problemy rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej, którym poświęcone było wspólne posiedzenie plenarne KŁ PZPR i WK ZSL.

Zarówno referat wprowadzający, który wygłosił **sekretarz KŁ PZPR, Zbigniew Faliński**, jak i głosy licznych dyskutantów wskazywały, iż najistotniejszymi problemami łódzkiego rolnictwa nadal pozostają: właściwa gospodarka ziemią, produkcja roślinna i zwierzęca, skup usługi, zaopatrzenie w środki produkcji, oświata i inwestycje dla rolnictwa oraz sprawa rozwoju przemysłu rolno-spożywczego.

Ziemię należy koncentrować w gospodarstwach uspołecznionych oraz w towarowych gospodarstwach indywidualnych, dzięki czemu można będzie stosować nowoczesną technikę i podział pracy. W latach 1977—80 z gospodarki indywidualnej w formie zamiany za rentę, wykupu lub przejmowania z urzędu, przejętych zostanie około 7,9 tys. ha gruntów. Zostaną one przekazane gospodarstwom indywidualnym specjalistycznym i gospodarstwom uspołecznionym. Trzeba będzie, podkreślił tow. Faliński, dobrze zagospodarować tę ziemię, bo dotychczas, jakkolwiek widać znaczną poprawę, **nadal obserwuje się błędy w nawożeniu, nadal króluje uprawa żyta i ziemniaków, a to z kolei pociąga za sobą niskie plony i regres w hodowli.**

Do końca roku 1980 ma powstać w łódzkim województwie miejskim około 2,3 tys. gospodarstw specjalistycznych, ponieważ tylko takie gospodarstwa dają szansę dźwignięcia rolnictwa na właściwy poziom. Przykładem może tu być rolniczka Bełdowska, która ukierunkowując swoje gospodarstwo na hodowlę trzody, zyskała nie tylko korzyści finansowe, dostarczając państwu z 8 ha w ciągu roku 3 tys. ton mięsa, ale jednocześnie dzięki właściwej organizacji pracy ma więcej wolnego czasu, który poświęca na działalność społeczną.

W województwie miejskim na plan pierwszy wysuwa się chów bydła mlecznego. Dla zaspokojenia ludności w mleko i jego przetwory trzeba będzie wybudować 470 nowych obór na 6 tys. stanowisk oraz zmodernizować istniejące budynki inwentarskie w gospodarstwach specjalistycznych. **W bieżącym roku wybuduje się 75 nowych obór i zasiedli je 1600 sztukami bydła. Sektor uspołeczniony musi wybudować do 1980 roku 6 nowych obór na 2,3 tys. stanowisk.**

Warto zaznaczyć, iż mamy już całą wieś specjalizującą się w produkcji mleka, a jest nią Górka Pabianicka.

Produkcja jaj spożywczych zorganizowana będzie głównie w gospodarstwach indywidualnych, ale równocześnie powstana nowe fermy w sektorze uspołecznionym: 3 fermy w Rolniczych Spółdzielniach Produkcyjnych, 4 w SKR i jedna w PGR.

Ze względu na szczupłość areału gruntów uprawnych tucz trzody chlewnej rozwijać się będzie głównie w SKR, przy czym jedyną szansą na zniwelowanie braków pasz treściwych może stać się wykorzystanie odpadów spożywczych z zakładów zbiorowego żywienia. Czy należy spodziewać się większych dostaw mięsa wieprzowego? Raczej nie, ponieważ straty poniesione w minionych latach w zakresie hodowli świń nie zostały jeszcze wyrównane. Pod dostatkiem natomiast będzie tłuszczu wieprzowego i słoniny. Jeśli zabraknie ich w sklepach, to tylko wyłącznie z winy handlu.

Jednakże, aby osiągnąć należyte wyniki w zwiększeniu pogłowia bydła, trzody i drobiu, trzeba rozwinąć odpowiednio produkcję roślinną. Warto też pomyśleć o zagospodarowaniu stałych zbiorników wodnych, do czego nikt się specjalnie nie kwapi, chociaż świeże ryby nabywców nie muszą szukać.

Konieczne jest zwiększenie produkcji zbóż, głównie poprzez zasiewy gatunków **wysoko wydajnych:** pszenicy, jęczmienia i mieszanek zbożowych. Areał pod zboża nie ulegnie zwiększeniu i wynosić będzie 45 tys. ha, ale zwiększy się uprawy zbóż intensywnych i roślin pastewnych.

Foto: Archiwum

Jak podkreślali dyskutanci, m. in. z gminy Nowosolna i Pabianice, i co również było akcentowane w referacie, **intensyfikacji wymaga również gospodarka łąkowo-pastwiskowa.** Łódzki „Wodrol" 80 procent prac wykonuje poza województwem, w wyniku czego są poważne opóźnienia w zakładaniu wodociągów, bez których hodowla bydła mlecznego jest nie do pomyślenia. Zaniedbania melioracyjne powodują iż tylko z 1/3 łąk trzykrotnie zbiera się siano, a plon sięga 60 kwintali z ha. Wskazane jest więc uregulowanie stosunków wodnych, prowadzenie bieżącej konserwacji urządzeń melioracyjnych i zwiększenie poziomu nawożenia mineralnego łąk i pastwisk z 290 kg NPK/ha do 360 kg.

W zakresie produkcji roślinnej **preferowana jest również uprawa warzyw**, tak gruntowych jak i przyśpieszonych, pod folią i szkłem.

Warto wrócić jeszcze do wypowiedzi Teresy Bełdowskiej ze wsi Jedlicze w gminie Zgierz. Stwierdziła ona, że kobiety wiejskie, zorganizowane w KGW, potrafią zrobić wiele dobrego w przeobrażeniu wsi, chcą jednak produkować więcej, lecz i łatwiej. **Postulowała więc, aby obok nowej fabryki traktorów powstały zakłady produkujące zmechanizowany sprzęt gospodarstwa domowego.**

Stwierdzenie Bełdowskiej wywołało wiele głosów w dyskusji. Krytykowano nie zawsze właściwą pracę administracji, w wyniku której rolnik traci cenny czas. Przedstawicielka Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych oznajmiła, iż w 1977 roku wymieniono ponad 1000 pracowników, którzy źle wywiązywali się ze swoich obowiązków wobec rolników, ale sam WZSR otrzymuje tak dużo różnych pism, których nie sposób przeczytać. **Sortuje się je do teczek, zamiast wziąć się za właściwą robotę. A jest co robić, np. wskutek złego przechowywania marnuje się tony warzyw i ziemniaków. Źle również stoi sprawa rozładunku, ponieważ odbywa się on w sposób niezmechanizowany.**

I tu dotknięto bardzo ważnego problemu, jakim są usługi dla rolnictwa i zaopatrzenie w środki do produkcji. Jak uprawić ziemię, pytał przedstawiciel Strykowa, gdy w gminie przypada 1 ciągnik na 86 ha, a do sprzętu zbóż jest tylko 1 „Bizon" i 2 „Vistule"? Dlaczego dojarki są dobre, pytał Zygmunt Kraska z gminy Pabianice, a bardzo kosztowny zgarniak do obornika po dwóch latach eksploatacji nadaje się do kapitalnego remontu?

Czemu tak kulawo idzie budownictwo dla rolnictwa? — zastanawiał się inny dyskutant. Bo na jednej ulicy, przegrodzone siatką drucianą, z własnymi bramami wjazdowymi, portierniami i magazynami, „siedzą" cztery przedsiębiorstwa; wszystkie świadczą usługi dla budownictwa rolniczego, ale jedno jest niejako „wiodące", pozostałe zaś pracują jako tzw. podwykonawcy. Wynika z tego wielki bałagan, szerzy się biurokracja, rodzą się nieporozumienia i zakłócenia. Czy wobec powyższego nie należałoby stworzyć jedno silne i zdrowe przedsiębiorstwo, które rytmicznie prowadziłoby budowy dla rolnictwa.

Stary powiat łódzki nie był dla nikogo bazą rolniczą i zaniedbania z tamtego okresu stają się dziś dokuczliwe. Na przykład na 1 ciągnik przypada 62,2 ha, podczas gdy w kraju wskaźnik ten wynosi około 40 ha. **Sprawę mechanizacji i usług winny ratować SKR, ale nie zawsze to wychodzi. Rolnicy narzekają na złe i nieterminowe usługi ze strony SKR.** Dyrekcje SKR z kolei odrzucają piłeczkę. Mają słabo wyposażone bazy, brakuje im fachowców, bo nie ma mieszkań dla tych ostatnich.

Istnieją jeszcze Rolnicze Spółdzielnie Produkcyjne, nawet tak dobre, **jak Dąbrówka koło Zgierza**, ale i takie, które pod szyldem RSP robią kołki i wieszaki albo guziki do kożuchów. Są też dobrze zorganizowane PGR, które winny pomagać rolnikom indywidualnym i świecić przykładem jako wyższa forma gospodarowania. **Niestety, oświadczył w swoim wystąpieniu tow. Faliński, są i takie gospodarstwa uspołecznione, które idą na łatwiznę, brakuje w nich ładu i nadzoru.**

Intensyfikacja produkcji rolnej wymaga więc rozwoju mechanizacji oraz usprawnień w dostawie środków produkcji i odbioru płodów rolnych. Zwłaszcza do gospodarstw specjalistycznych powinno się dowozić węgiel, nawozy mineralne, materiał siewny, pasze i materiały budowlane, ponieważ produkujący na dużą skalę rolnik nie ma czasu na uganianie się własnym transportem po magazynach GS. To samo dotyczy odbioru płodów rolnych wprost z zagród.

Rzecz jasna, że obok tych problemów sprawą nie mniej istotną jest stały **dopływ do rolnictwa wykwalifikowanej kadry na wszystkich stopniach kształcenia.** Zapotrzebowanie do roku 1980 wynosi tutaj około 9,5 tys. osób, z czego 8 tys. osób z wykształceniem na poziomie zasadniczym. Ale póki co warto się zająć szkoleniem producentów rolnych, z których zaledwie 20 procent posiada kwalifikacje podstawowe.

W bieżącej pięciolatce, jeśli chodzi o inwestycje, szczególny nacisk będzie położony na melioracje, zaopatrzenie rolnictwa w wodę, budownictwo inwentarskie oraz umaszynowienie i usprzętowienie rolnictwa. Planuje się budowę nowych obór, chlewni i ferm kurzych, powstanie na licencji ZSRR szklarnia w Janowie (powierzchnia 12 ha), chłodnia owoców na Widzewie na 1000 ton oraz 1190 izb mieszkalnych. **Na te cele przeznacza się ponad 5,5 mld złotych.** Jednakże zrealizowanie tych planów wcale nie będzie łatwe, jeśli nie wzrosną odpowiednio moce przerobowe przedsiębiorstw zajmujących się wznoszeniem inwestycji rolniczych.

Równie trudne zadanie stoi przed przemysłem rolno-spożywczym, w którym wiele zakładów dysponuje przestarzałą bazą techniczno-produkcyjną.

Ale, jak stwierdził zamykając obrady I sekretarz KŁ PZPR, Bolesław Koperski, jeśli wzmożemy wysiłki, jeśli na każdym kroku będziemy mieć na uwadze dobro nas wszystkich, jeśli będziemy naprawdę dobrymi gospodarzami, to postawione zadania rozwiążemy. Tylko konsekwentna realizacja podjętej uchwały może doprowadzić do szybszego rozwoju rolnictwa w województwie i pełniejszego zaspokojenia potrzeb żywnościowych ludności łódzkiej aglomeracji.

Ziemia się kurczy. Chodzi więc o to, aby ziemia nie wymykała się nam z rąk. A że jest to sprawa niezwykle trudna i skomplikowana, warto dorzucić stare stwierdzenie, iż rolnictwo to ogromna fabryka pod gołym niebem.

NIE TYLKO HISTORIA

DAWNE WŁOSKIE AKADEMIE

O tym, czym są dziś organizacje naukowe, noszące dumne miano Akademii, wiemy stosunkowo dokładnie, z pewnością też potrafimy wyliczyć nazwy co głośniejszych Akademii Nauk działających w różnych stronach świata. O tym jednak, jak doszło do uformowania się tej organizacyjnej formy życia naukowego, jakie kształtowaniu się Akademii we współczesnym rozumieniu tego pojęcia towarzyszyły trudności i opory, ile popełniano błędów, aby można było odnosić naukowe sukcesy, o tym wszystkim wiemy już znacznie mniej. Najczęściej, kiedy przychodzi nam mówić o początkach nowożytnych organizacji naukowych, przywodzimy na pamięć sławne londyńskie The Royal Society — pierwsze „owocnie pracujące stowarzyszenie naukowe", jak powiedział o nim sławny historyk nauki John D. Bernal, oraz paryską Academie des Sciences. Rzadziej pamiętamy już, że przed tymi, jakże ważnymi dla historii nauki organizacjami, były jeszcze wcześniejsze, które — choć dziś zapomniane — wniosły swój wkład do rozwoju ludzkiego poznania, do dziejów nauki światowej.

„W powszechnej historiografii organizacji nauki jest dotychczas dotkliwa luka polegająca na nieopracowaniu roli, którą w rozwoju form organizacyjnych nauki odegrały włoskie akademie XV—XVII w.". Zdanie to umieszcza Waldemar Rolbiecki na zakończenie rozważań o stanie literatury przedmiotu w swojej nowej książce p.t.: „Akademie włoskie w latach 1454—1667. Początek towarzystw naukowych jako typu instytucji", opublikowanej przez Instytut Historii Nauki, Oświaty i Techniki (Ossolineum 1977, Monografie z Dziejów Nauki i Techniki, t. 113). Rzadki to wypadek, aby polski badacz zapuszczał się w głąb historii włoskiej i czynił to — jak to się udało W. Rolbieckiemu — z najzupełniejszym powodzeniem. Polski uczony podejmując ważny, włoski temat, zdawał sobie w pełni sprawę z tego, na jakie napotka trudności. Nie chodziło rzecz jasna o trudności językowe, W. Rolbiecki daje sobie bowiem doskonale radę z językiem włoskim, ale o przeszkody wynikające z oddalenia od materiałów. Kilkumiesięczny pobyt we Włoszech dał uczonemu wiele, mianowicie okazję do przerobienia podstawowej literatury i źródeł, jednakże przetworzenie zebranych informacji, ich opracowanie tak, aby złożyły się na wartościową książkę — jak powiada W. Rolbiecki — „musiało oczywiście nastąpić w moim własnym kraju, a wtedy niejednokrotnie okazywało się, że to i owo warto by, a nawet należałoby jeszcze pogłębić, rozszerzyć i uzupełnić". Polski uczony powiada jednak w swej książce, że jako cudzoziemiec zajmujący się sprawami włoskimi, miał w porównaniu ze swymi włoskimi kolegami także i... „pewne nadzwyczajne szanse". Spytajmy: na czym one polegały? „Stwarza je dystans — nie tylko czasowy, który mają wszyscy, lecz ponadto i terytorialny, a raczej kulturalny — z którego spogląda (on) na przedmiot swych studiów". Ten właśnie dystans, wyznaje W. Rolbiecki, „ułatwia przekraczanie kręgu specjalnych spraw narodowych włoskich (...) i koncentrowanie się na sprawach o większym walorze uniwersalnym, ogólnoświatowym — tj. w naszym wypadku — na tej niejako czerwonej nici, wiodącej od genezy akademii w ogóle, do genezy towarzystw naukowych".

Czytam tę książkę z niesłabnącym zainteresowaniem nie tylko dlatego, że kiedyś przyszło mi spędzić lata na badaniach nad dziejami średniowiecznymi, a więc i problematyka historii XV—wiecznych Włoch jest mi jakoś bliska. Czytam z uwagą dlatego, że W. Rolbiecki — z profesji i zamiłowania historyk nauki, wyczulony przede wszystkim na zagadnienia organizacji, form życia naukowego w ich rozwoju — potrafił przeprowadzić swego czytelnika obronną ręką przez splątany gąszcz historycznych szczegółów, w którym niejeden z pewnością by utonął. Pierwsza włoska Akademia powstała przecież w 1454 roku, a W. Rolbiecki snuje swe rozważania dochodząc aż do drugiej połowy XVII stulecia. Jest to szmat czasu, a kto czytał kiedykolwiek cokolwiek z włoskiej historii wie, że w tamtej części Europy dzieje toczyły się wówczas niezmiernie szybko, działo się bardzo wiele i zmieniało, jak w kalejdoskopie.

Nie piszę tego felietonu po to, aby streścić książkę W. Rolbieckiego. Zresztą uczynić tego nie sposób: zbyt wiele w niej treści, zbyt wiele informacji, których niepodobna pominąć bez szkody dla całości wywodów autora. Powiedzmy tedy najogólniej, że śledząc dzieje włoskich Akademii polski uczony wskazuje, że jako pewien typ instytucji — jak powiada — zawdzięczają one swe „powstanie i początkowy rozwój trzem zwłaszcza wielkim akcjom kulturalnym, których były niejako pomocniczym, instrumentalnym wytworem, potrzebnym po to, aby akcje te mogły przebiegać krócej. Chronologicznie pierwszą z nich była wielka renesansowa recepcja dorobku kulturalnego starożytności, będąca istotnym składnikiem ruchu kulturalnego zwanego renesansowym humanizmem, a zwłaszcza recepcji starożytnej myśli filozoficznej i społecznej". Drugą było „świadome, umyślne tworzenie i doskonalenie włoskiego języka ogólnonarodowego, będące ważnym elementem wczesnej fazy procesu powstawania włoskiego narodu", nareszcie trzecią — „torowanie dróg „nowej" eksperymentalnej nauce przyrodniczej".

ANDRZEJ F. GRABSKI

WIERSZE

JERZY JARMOŁOWSKI

TRIOLET W SŁUŻBIE Z ZASŁUGAMI

ty słowu służysz — jakież szczytne słowa
bacz by twa służba nie była lokajska
i by w liberii nie stała twa mowa
gdy słowu służysz bacz na swoje słowa
a w przednie łapy głowy też nie chowaj
mowa i głowa twoja jest nie pańska
ty słowu służysz a słowa jak słowa
za „służyć" stoi natura lokajska

O TYM JAK JARMOŁ RZECZY RÓWNE WAŻYŁ

równie nam wiersze co historię składać
równa odwaga co równa pokora
równy rozsądek tyle co przekora
równie językiem co i nożem władać

równy nam salon jako i obora
równe nam widły i równa nam szpada
równy nam honor i równa nam zdrada
równo z czworaków równo i ze dwora

trzeba by jeszcze tę równość zapalić
lecz takt poetę nie historia wiąże

kto z księcia pastuch kto z pastucha książę
to w pergaminie tym można się bawić

a ptak ptakowi i tak nie dorówna
chociaż polezie orzeł z wróblem w gówna

O TYM JAK JARMOŁ SPOD KRZYŻA POWINNOŚCI BEZ ŻALU SIĘ WYWINĄŁ

tam z powinności siebie wyłuskałem
gdzie noże ostrzą a szanują krzyże
gdzie Poncjuszowi pudle dłonie liżą
i tłumy klaszczą pod rozpiętym ciałem

choć im sposobią obroże i smycze
aliści równie sposobią im strawę
takoż historię — plebejską zabawę
jakoż i tego który ją opisze

cóż pozostaje — a nie mnie dbać o to
jak i słów szukać co mają ocalać
by na ołtarzach tak pięknie się spalać

nie mnie w kaganiec też szczekać z ochotą
racje Poncjusza Mesjasza do wzięcia
ta policjanta jest a ta wisielca

O TYM JAK JARMOŁ W KOŚCIELE MARIACKIM W KRAKOWIE POD PŁASKORZEŹBĄ FILIS NA ARYSTOTELESIE MEDYTOWAŁ

temat ów zda się na plebejską śpiewkę
kulturze możnych raczej nie przystoi
rżnął Aleksander Wielki zdrową dziwkę
w drodze do Indii na dłuższym postoju

Arystoteles miał chęć na panienkę
więc argumenta misterne jął stroić
jako ta świnia jak wieprz pod kurewkę
dziś w płaskorzeźbach drzeworytach stoi

coś ty uczynił światu filozofie
iż piękna Filis po lędźwiach cię kopie
gdzie mędrca umiar gdzie szkiełko gdzie oko

plebs gdzie się skundlił z kulturą wysoką
kto kogo kiedy dlaczego okraczył
śmiech z filozofią a gdzie się złajdaczył

TRIOLET O KAPŁANIE BŁAŹNIE I BARDZO PRZYSTOJNYM KSIĘCIU W GŁĘBI OBRAZU

nie o kapłana wpierw o błazna pytaj
to błazen prawdzie a nie kapłan służy
i choć cię trefniś dowcipem przywita
ty nie kapłana ale błazna pytaj
jakiż ów naród jaki ma obyczaj
czy we krwi królów już sztylet zanurzył
półżartem książę o to błazna pytaj
błazen półżartem tu półprawdzie służy

*) Wiersze z tomu „KTO KOGO KIEDY DLACZEGO OKRACZYŁ", który ukaże się wkrótce nakładem WYDAWNICTWA ŁÓDZKIEGO.

RECENZJE

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

PUSZKIN NIE TYLKO ACHMATOWEJ

Pierwsza polska edycja „Listów" Puszkina nie poleżała długo na półkach księgarskich i nic w tym dziwnego — ostatecznie to jeden z najlepszych kryminałów rosyjskich; znakomity tym bardziej, że właściwy sprawca zbrodni nie odsłonił do dziś twarzy. Atoli dziwię się, że książka „Mój Puszkin" wybitnej poetki, która cieszy się u nas zasłużoną popularnością, zalega jeszcze regały księgarń. Przecież i w niej — jak zresztą niemal w każdej publikacji monograficznej o tym brzydkim mężu pięknej żony — można wytropić sporo anegdot, detektywistycznych spekulacji i sensacyjnych wieści sprzed lat stu czterdziestu. Tak, ale nic tu nie ma z chęci przypodobania się czytelnikowi. Achmatowa obrała trudniejszą drogę: czytać osobowość poety poprzez jego dzieło. O wartości jej pracy przeświadcza argument nie do odparcia, który przytacza tłumacz i komentator tej edycji, Ryszard Przybylski: „Z wszystkich puszkinistów Achmatowa dysponowała w końcu cechą w tym klanie unikalną: intuicją wielkiej poetki".

Wprawdzie szkice te, pisane na przestrzeni kilkudziesięciu lat, dalekie są od pełnego ujęcia monograficznego, mimo to dają doskonałe wyobrażenie nie tylko o osobowości autora „Oniegina", lecz również odsłaniają tajniki jego warsztatu poetyckiego, których nie jest w stanie zgłębić filolog nie znający praw rządzących życiem w: rsza. I to jest najcenniejszym walorem esejów Achmatowej. Trudno mi orzec, jaką przedstawiają one wartość dla czytelnika rosyjskiego, wiem natomiast, że rewidują na polskim gruncie potoczne mniemanie o Puszkinie, jako poecie łatwym, nie skażonym filozofią, skłonnym do uczuciowych uniesień (wspomniał o tym w nekrologu Puszkina sam Mickiewicz), których melodyjne miary miałyby jakoby tuszować niedostatki refleksyjne. Tymczasem Puszkin Achmatowej (tytuł pochodzi od tłumacza i wprowadza pewne zamieszanie, gdyż pod takim samym tytułem została opublikowana w 1967 r. książka M. Cwietajewej) to poeta zdumiewającej pracowitości, czemu dają wyraz zestawienia różnych wersji poszczególnych utworów, znający wagę i odcienie znaczeniowe słów, to nade wszystko znakomity znawca charakterów ludzkich, procesów społeczno-obyczajowych, podnoszący mądrość ludu rosyjskiego do godności literatury (na co zresztą bodaj pierwszy zwrócił uwagę Dostojewski), dając tym samym zaczątek owej fascynującej odrębności literatury rosyjskiej względem piśmiennictwa innych krajów europejskich.

Szkice (właściwie rozprawy — z racji analitycznego charakteru i jednotorowości badań) Achmatowej konstrukcją swoją przypominają mozaikową kompozycję: cytat z utworu Puszkina i lapidarna analiza, która ma w sobie coś z aforyzmu, sentencji, w każdym bądź razie nie obywa się bez interesującego uogólnienia. I tak cały czas. I nie od razu czytelnik może pojąć sens tej misternej roboty, dopiero po przeczytaniu całości zaczyna łączyć poszczególne elementy, widząc, jakim duchem i ładem artystycznym przesycone są te scjentyficzne niemal dociekania. Stąd przy pobieżnej lekturze książka może robić wrażenie zbioru marginaliów, czegoś przyczynkarskiego i zgoła drobiazgowego. Wymaga przeto cierpliwości i uważnie trzeba łączyć maleńkie, na pozór poszarpane, ogniwa wielkiego wywodu. Każde słowo cytowane bywa prześwietlane z wielu stron, nie sposób więc dopatrzyć się interpretacyjnych przerostów bądź niedowładu krytycznego. Natomiast można mieć pewne zastrzeżenia co do selekcji materiału dowodowego.

Jaki więc przedstawia nam się Puszkin pod naukowym piórem (warto pamiętać, iż wiele wierszy znakomitej akmeistki osnutych jest wokół puszkinowskiej problematyki) Achmatowej? Wszystkie szkice, bez względu na to jakiego utworu czy epizodu biograficzego dotyczą mają tę wspólną nić przewodnią prowadzącą do Puszkina, człowieka niezwykle złożonej osobowości, ale w efekcie nieskazitelnego. Wszystkie polemiki z puszkinistami kończą się katharsis, oczyszczeniem z różnych insynuacji i zarzutów osoby poety. Wiadomo — Puszkin był miłością życia Achmatowej, która akcentuje jego umiłowanie wolności, sprawiedliwości itd., itp., wskazując na jedność głoszonych poglądów z postępowaniem na co dzień. Jednakowoż jest to trudna i niejednoznaczna hagiografia, gdyż pozostawia czytającemu wiele otwartych furtek.

Ażeby zrozumieć właściwie Puszkina i także Achmatową (gdyż jest to poniekąd rzecz i o autorce „Elegii północnych"), wydaje mi się, iż trzeba sięgnąć pierwej po esej R. Przybylskiego pt. „Stawrogin" („Teksty" 1972 nr 4), który — w moim przekonaniu — stanowi klucz do rozumienia nie tylko Dostojewskiego, ale literatury rosyjskiej, w ogóle, a tym samym rosyjskiego rozumienia autonomii jednostki, buntu, wolności itp. Achmatowa właśnie reprezentuje ten sam typ myślenia, co Aleksander Siergiejewicz, przeto trudno było zdobyć się na dystans i obiektywne spojrzenie na zachowanie bohatera swych urzeczeń.

Wszakże i Puszkin popełnił błąd pojmując za żonę Natalię Gonczarow. Czy naprawdę można ją bezwzględnie potępiać, jeśli wychodząc za mąż miała przed sobą jeszcze całą młodość z wszystkimi wzlotami, upadkami, błahostkami i próżnościami, a Puszkin był już mężczyzną, który się „wyszumiał" i zupełnie czego innego oczekiwał od życia? Poza tym zmienia się obraz Natalii Nikołajewny po opublikowaniu jej listów do brata, których jeszcze nie znała Achmatowa. Zresztą i żonatemu Puszkinowi trafiały się miłostki i niekoniecznie do Aleksandry Gonczarow, ale do pań pośledniejszego autoramentu, z czego usprawiedliwia się w jednym z listów do Natalii (sic!). Panowanie nad formą wiersza nie musiało iść koniecznie w parze z panowaniem nad rozwichrzonym temperamentem.

Niezależnie od tych zastrzeżeń, które — zdaję sobie sprawę — można podważyć innymi racjami, chciałbym podkreślić wieloaspektowość znaczeniową „Mojego Puszkina". Dopatruję się bowiem warstwy, nie wiem czy zamierzonej przez Achmatową, która bardzo uwspółcześnia romantycznego poetę.

Achmatowa ujawnia w całej okazałości mechanizmy intryg, chorobliwej podejrzliwości, insynuacji i prowokacji, jednym słowem — system policyjny, w którym można znaleźć miejsce dla siebie pod warunkiem, że jest się bezwzględnie cynicznym. Natomiast ludzi wierzących w określone idee, angażujących się i szukających sensu dla życia własnego i życia narodu, kreujących siebie i usiłujących „zjadaczy chleba w aniołów przerobić" czeka w ostateczności rezygnacja, abulia, obłęd, samobójstwo. Innego wyjścia nie ma. System bywa silniejszy od swego twórcy. Kogo zatem winić? Zastanówmy się nad tą książką.

Anna Achmatowa, Mój Puszkin. Rozprawy i uwagi krytyczne. Przekład i komentarz Ryszarda Przybylskiego, Warszawa 1976, Czytelnik, s. 226.

WIESŁAW PUSZ

PIÓRO NA SIERPNIOWYM WIETRZE

Najlepszym zakończeniem każdej lektury jest potrzeba odłożenia książki na podręczną półkę. Najprzyjemniejszą rzeczą, jaka może spotkać recenzenta tomiku poezji, to nakłanianie czytelnika do przeczytania kilku wierszy na głos.

Nowy zbiór poezji i prozy poetyckiej Tadeusza Gicgiera zatytułowany „Pamięć genetyczna" nie zaskakuje, potwierdza to wszystko, co o autorze i jego twórczości wiemy od dawna. Cokolwiek by można na ten temat powiedzieć, to rzec by też trzeba, że jest to forma autorskiej uczciwości. Gicgier nie dokonuje prawdopodobnie selekcji swych wierszy. Pisze dużo, ale wtedy, gdy odczuwa tego potrzebę — nie wybiera jednak do druku utworów tylko najlepszych. Gdyby to uczynił, mogłoby się zdarzyć, iż Gicgier stałby się uznanym, czołowym wirtuozem, powiedzmy „klasycyzującej wypowiedzi poetyckiej".

Przypuszczam, uogólniając co prawda własne odczucia, że czytelnik woli tomiki, jak się mawia pięknie — nierówne. Perfekcjonizm ludzkich działań jest podejrzany, doskonałość ziębi, rodzi dystans. Toteż nie razi mnie, gdy już zostałem przez autora przekonany o autentycznej potrzebie zapisu swych poetyckich refleksji, przemieszanie wierszy bardzo dobrych i nieszczególnych. Te ostatnie pojawiają się według mnie wtedy, gdy poeta usiłuje ożywić, zdynamizować, wprowadzić niepokój w swój uporządkowany świat dojrzałych rozmyślań. Przykładem otwierający zbiorek wiersz „Na przełomie zimy" z uporczywą, co wers, inwersją, czy utwór o incipicie „O jakże wcześnie zaczyna się człowiek...", czy wreszcie zamykająca pierwszą część tomiku tytułowa „Pamięć genetyczna". W przypadku tego ostatniego wiersza dodać należy, iż chodzi o jego początkową część — i tu prawidłowość kolejna: brak poetyckiego efektu wynika, jak się zdaje, nie tylko z odrzucenia własnej artykulacji, ale i z rezygnacji z mówienia we własnym imieniu (zamiast „ja" — „my", zamiast „moje" — „nasze").

Pisywać wiersze można tylko wtedy, a myślę nie o indywidualnym przekonaniu lecz o społecznym przyzwoleniu, gdy zna się, ceni i umie posługiwać językiem, w którym się pisze. Jestem głęboko wdzięczny Gicgierowi za głęboką kulturę słowa, za to, że tak sprawnie lecz spokojnie, więc znowu — uczciwie — wypowiada się — po polsku. Świadectwem pełnej orientacji w możliwościach naszego języka, na usługach rozmaitych konwencji literackich, są te utwory poety, w których mimo wyraźnej stylizacji nic nie brzmi fałszywym tonem. Pewnie i dlatego, że sięga wtedy Gicgier po tradycje w jakiś sposób bliskie własnemu przeżywaniu świata — przykładem „Modlitwa" kierująca nas do Słowackiego, więc i „Gra" (po Bryllowsku przywołująca antenatów), czy przypominające strofy Lechonia „Wiele znaczyło".

W swych najlepszych wierszach, pisanych z siebie i dla siebie, jest Gicgier w ostatnim tomiku poetą sierpnia. Nie lata, choć lata i lat tu wiele, nie lipca — lecz właśnie sierpnia. Pełnia, ale już zmierzająca ku zanikowi, kulminanta, ale w momencie bezwładu oznaczającego odwrót. Szczególnie sugestywne przez swą trafność i uczciwość poetyckich spostrzeżeń są tu wiersze poświęcone kobiecie, współwędrowniczce przez pory życia („Kiedy tryskają źródła...", „Jeszcze trwa lato").

W utworach tych objawia się specyfika pióra, będąca na szczęście atutem, niepodważalną wartością utworów Gicgiera. Chodzi o bardzo zmysłowe (przede wszystkim wzrokowe), pełne, uważne i uczciwe rejestrowanie wszelkich przejawów świata, zwłaszcza przyrody, czy szerzej choć wieloznacznie — natury, a następnie poddanie zaobserwowanej rzeczywistości głęboko ludzkiej, spokojnej i mądrej refleksji (bardzo dobre „Tu dokona się lato, na skrawku ugoru...", znakomite „Pamiętam dzień grudniowy właśnie się pochylał..."). Jest to refleksja człowieka nie tylko doświadczonego, ale i doświadczanego, niepodległego rozpaczy, ale i złudzeniu.

Droga szła prosto,
aczkolwiek na przełaj,
(...)
aż po dzień dzisiejszy,
gdy zobaczyłem
tej nici początek,
tak krąg się zamknął
od monety mniejszy

Ale choć pojawiają się samookreślenia: „tak zaplątany w siebie, jak w węzeł gordyjski", „jednostka refleksyjna /stąd reflex zwolniony", nie próbuje autor dokonywać ostatecznych ustaleń, pełnych rozliczeń („Gdzie straty, a gdzie zyski? /Za wcześnie na bilans"). Wiersze jego nie usiłują tłumaczyć, porządkować, oceniać — więc interweniować:

Co naprawię,
na powrót zepsuję
niewydarzony zegarmistrz
słonecznego zegara.

Są przede wszystkim próbą uczciwego, zrównoważonego zdawania sobie sprawy z własnych obserwacji i przeżyć.

Nikomu nie przydatne
moje pisanie,
chyba tylko mnie,
gdy wszystko już było
i gdy niczego ono nie zmieni
na świecie
między ludźmi,
nawet w zasięgu mojej ręki.
A jednak przykładam rękę do
białej kartki,
czynię to z godnością (...)

Gicgier nie jest ani moralizatorem, ani rewelatorem, zawodowym głosicielem praw ostatecznych czy też odkrywcą prawd nieznanych. Toteż i jego doskonale prosta w swym stylistycznym kształcie, „wakacyjna" proza poetycka skupia się na niesłychanie uważnej obserwacji więzi między człowiekiem a miejscem jego aktualnego pobytu („Wspólnota" to w przeciwieństwie do „Pamięci genetycznej" zamknięty cykl tematyczny, który z tego powodu winien kończyć się już, w zależności od autorskiej woli, na „Murze" lub „Na cmentarzu").

Wydaje mi się, że w czasach, gdy mamy nadmiar objawień i rewelacji oraz gorących wyznawców tychże, głęboko człowieczy ton poetyckiej refleksji Gicgiera czyni jego utwory po prostu potrzebnymi. Co rzekłszy, odkładam tomik na „tę" właśnie półkę.

Tadeusz Gicgier: „Pamięć genetyczna". Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1977, cena zł 12, Biblioteka Poetycka.

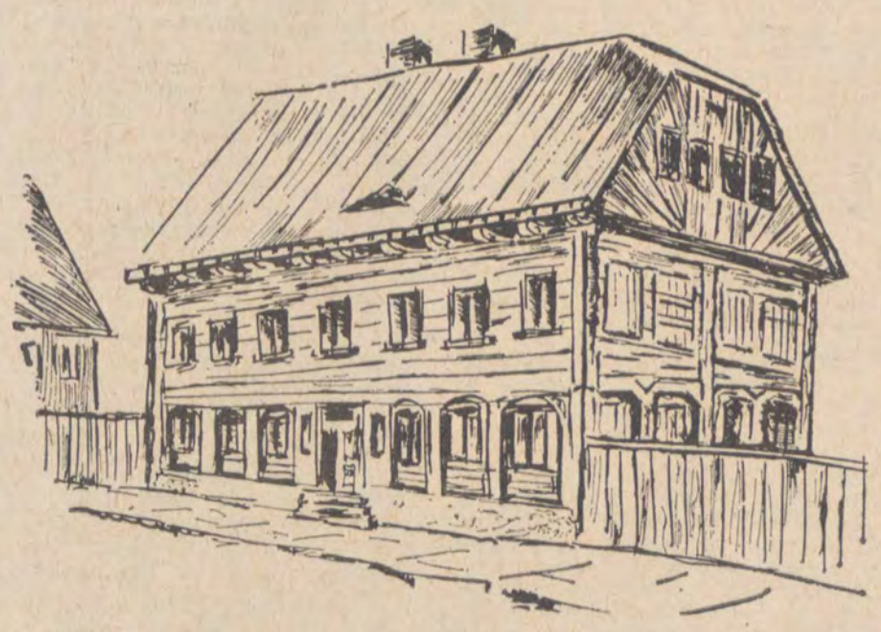

Dom tkacki (łużycki) z pocz. XIX w.

PO PROSTU: MUZEUM

Dalszy ciąg ze str. 1

budynku urządzić hotel. Dziś wspomina się o tym ze spokojem, gdyż muzeum nie tylko zostało uratowane, ale jest wzorowo prowadzoną placówką kulturalną, swoją działalnością wybiegającą daleko poza ramy nakreślone przez statut.

Keplerowie wrośli w pejzaż swojego muzeum. Tu mieszkają, pracują, wychowują dzieci. Jak dawniej poświęcają mu cały swój czas pracy. Nie wyobrażają sobie by mogło być inaczej. Jan Kepler — etnograf jest jednocześnie kierowcą służbowego motocykla (a służy im ten pojazd około 15 lat), przygotowuje go do przeglądów, zajmuje się ogrodnictwem, naprawia drobny sprzęt elektryczny, pomaga przy pracach porządkowych (jedyny mężczyzna wśród kobiecej załogi zamku), inni pracownicy (jest ich w sumie 4 osoby, bowiem od sześciu lat na etacie historyka pracuje **Alicja Kloze**) wykonują prace bibliotekarzy, konserwatorów, oświatowców itp. A do tego praca biurowa, setki sprawozdań, formularzy, opracowań! Jako jedyne muzem w kraju nie posiada etatu administracyjnego. Czas zużyty na prowadzenie skomplikowanej rachunkowości jest kradziony z godzin jakie można byłoby poświęcić na pracę z ludźmi. A praca ta jest bardzo różnoraka, nietypowa, lecz mająca w swoim założeniu głęboki sens wychowawczo-poznawczy.

PRACE NA RZECZ ŚRODOWISKA

Posłużę się statystyką: przed wojną roczna frekwencja w muzeum wynosiła ok. 2 tys. osób, dziś — 47 tysięcy. W latach 1948—62 było po jednej wystawie czasowej rocznie, obecnie jest ich ok. 17. W ciągu ostatnich 10 lat muzeum w Pabianicach urządziło 123 wystawy czasowe, z których należałoby wymienić takie, jak: prezentacja twórczości J. Iwaszkiewicza, A. Lenicy, K. Owczarskiej, L. Kunki, B. Przybyła, S. Justa, N. Hansa i innych. (Dyrektor muzeum Maria Kepler specjalizuje się w propagandzie współczesnej sztuki polskiej). Wystawy etnograficzne: sztuka Wyspy Bali, sztuka Ziemi Łaskiej, polska rzeźba ludowa, historia pszczelarstwa i bartnictwa, węgierska sztuka ludowa, obrzędy ludowe itp. Wystawy historyczne i polityczne: Piastowie polscy na Śląsku, 1000 lat oręża polskiego, Rewolucja 1905 r., 30-lecie Ludowego Wojska Polskiego w medalierstwie, udział Polaków w Wielkiej Rewolucji Październikowej, 20- i 25-lecie PPR, strajki włókniarzy w 1933 r., Lenin na ziemi polskiej i wiele innych. Tu także mają miejsce doroczne wystawy plastyków, fotografików z Pabianic.

Osobnym rozdziałem pracy muzeum są koncerty popularyzujące muzykę poważną. Rocznie organizuje się ich ok. 10, zawsze w najlepszym wykonaniu. Gościli tu m. in.: Wanda Wiłkomirska, Regina Smędzianka, Krystian Zimmerman i Elżbieta Tarnawska.

Praca na rzecz środowiska zajmuje poważne miejsce w programie pracy muzeum. Od 1959 r. istnieje tu Zespół Plastyków, dla których prowadzi się systematyczne szkolenia praktyczne i teoretyczne, konsultacje, konkursy, wystawy. Z tego zespołu wywodzi się wielu znanych dziś w kraju i poza jego granicami plastyków. W rok później powstało Koło Fotografików. Z pracy z młodzieżą szkolną i harcerską zrodził się pomysł wspólnych obozów archeologiczno-etnograficznych, kursy dla przewodników młodzieżowych, a nawet powstała Muzealna Drużyna Harcerska.

Są to prace, których nie ma w żadnym ze statutów muzealnych. Dlatego też dzień pracy dyrektor muzeum Marii Kepler rozpoczyna się o 6 rano, a kończy około północy, choć ustawowo winna pracować jedynie 7 godzin.

— Tym rozlicznym obowiązkom i zajęciom — mówi Maria Kepler — mogę sprostać dzięki temu, że otaczają mnie ludzie wielkiego serca i dobrej woli. Przez te wszystkie lata powstał zgrany kolektyw oddanych przyjaciół rozwoju i propagandy sztuki.

GROBY CIAŁOPALNE

Kiedy 15 lat temu młodziutka pani archeolog, córka prof. Konrada Jażdżewskiego, Maria, rozpoczęła prace wykopaliskowe w okolicy wsi Ldzań na cmentarzysku kultury łużyckiej z III i IV okresu epoki brązu — wzbudziło to zrozumiałą sensację. W dziejach tych ziem nikt takich prac tu nie prowadził. Ekipa wyglądała bardziej na poszukiwaczy skarbów niż na archeologów: na motocyklu z koszem ulokowano parę szpadli, materace dmuchane, szpachelki, łopatki, papier milimetrowy i pakunkowy, sznurki, calówki — słowem najskromniejsze wyposażenie jakie można sobie wyobrazić. Okoliczni chłopi tłumnie przybyli na miejsce prac archeologicznych. Nikt nie wierzył w żadną historię, każdy był przekonany, że szukają złota. Wówczas Maria Jażdżewska postanowiła, że będzie prowadzić akcję odczytową na temat archeologii. Ludzie zwabieni niezwykłością robót ziemnych, każdej niedzieli, zaraz po mszy, przybywali posłuchać co też ta młodziutka, śliczna i filigranowa panienka z miasta będzie mówiła o ludach mieszkających tu przed wiekami. Eksperyment się powiódł i te odczyty są kontynuowane do dziś. Chłopi nie niszczyli więcej stanowisk archeologicznych, lecz zaczęli zgłaszać znaleziska z własnych gruntów.

Pierwsze wykopalisko było imponujące: 35 grobów ciałopalnych popielnicowych i jamowych. Znaleziono tu wiele ceramiki z okresu środkowo-polskiej kultury łużyckiej (bardzo ładna, ornamentowana ukośnymi żłobkami), w popielnicach natomiast pierścionki z brązu. Następnie kopano we wsi Przyrownica. Okres II—IV w. n.e. Cmentarzysko z okresu wpływów rzymskich z licznymi importami, przedmiotami z brązu, naczyniami (interesująca jest czarka gliniana ze szkiełkiem w dnie), w grobach żeńskich — fibule, grzebienie kościane, w męskich — nożyki, sprzączki, groty oszczepów. Na jednej z popielnic zawierającej spalone kości leżał zgięty rytualnie miecz żelazny, by nikt po śmierci wojownika nie mógł użyć więcej jego broni.

Kopano także w Jaworze, na cmentarzysku kultury łużyckiej z późniejszego okresu halsztackiego, a także w Zalesiu, obok wspomnianego już Ldzania, po drugiej stronie rzeki Grabi. Odkrył tu osadę wielce zasłużony badacz tej rzeki, biolog prof. Leszek Pawłowski. Znaleziono tu polepy z gliny po spalonej osadzie.

Obecnie trwają prace w Siemiechowie. Pierwsze cmentarzysko kultury wschodnio-pomorskiej z okresu halsztackiego odkryto w 1968 r. Odkryto je zresztą zupełnie przypadkowo kopiąc doły na kartofle.

Prace archeologiczne wymagają benedyktyńskiej cierpliwości. Dawniej płacono robotnikom 6 zł za godzinę kopania, dziś podniesiono stawkę do 10,50 zł. Ale ludzi nie ma, okolicznym chłopom to się nie opłaca. Młodzież szkolna może co najwyżej pomagać przy zasypywaniu dołów. Nadal także korzysta się przy przewożeniu sprzętu z owego, legendarnego już motocykla. Tak więc w Siemiechowie prace trwają piąty sezon, a jak mówi Maria Jażdżewska, starczy tego do końca życia. Odkryto 6 półziemianek, na planie których znajdują się paleniska, a w nich ceramika toczona i lepiona ręcznie. Niektóre ze znalezisk są unikalne, np. czarna, toczona, z pięknym ornamentem falistym ceramika.

ZAPASKA Z DŁUTOWA I STRÓJ SZAMANA

Jan Kepler, kiedy zapytałem go o zbiory etnograficzne, powiedział, że jego zamiarem jest pokazanie dzisiaj tego wszystkiego z kultury ludowej, co niegdyś stanowiło spontaniczny i naturalny przejaw ludzkich potrzeb w zakresie sztuki. Kultura ludowa na tym terenie nie tyle wyginęła, co została wyparta przez kulturę robotniczą, fabryczną. Stąd trudności z odnalezieniem starych narzędzi, ozdób, ubiorów. Właściwie z całej przebogatej sztuki ludowej dziś ostało sie jedynie tkactwo uprawiane w Dobroniu, Dłutowie i Róży. Jednak ta sztuka już nie żyje własnym życiem, jest produkowana niejako na zamówienie: na konkursy i wystawy.

Dotychczas zbiory etnograficzne nie mogły, podobnie jak archeologiczne, być eksponowane na stałe w salach muzeum: nie było na ten cel pomieszczeń. W ubiegłym roku muzeum otrzymało dodatkowy budynek po szkole podstawowej. Maria Kepler schodziła niejedną parę butów pukając do drzwi miejscowych urzędów i zabiegając o przyznanie dodatkowych pomieszczeń. Niewątpliwą zasługą że można w końcu urządzić stałe ekspozycje w nowym budynku, jest wkład byłego I sekretarza KM PZPR Eugeniusza Kraja i prezydenta miasta Stanisława Fronczaka. To nie laurka, lecz zwyczajne oddanie sprawiedliwości ludziom, którzy podjęli właściwą i słuszną decyzję.

W nowym budynku na parterze są wystawy: archeologiczna i etnograficzna, na piętrze afrykanistyczna (bogate dary prof. W. Eichlera). M. in. można obejrzeć oryginalny kompletny ubiór wioskowego szamana. Takiego ubioru nie ma żadne muzeum europejskie, bowiem szamani, jako animaliści, przypisują takiemu ubiorowi znaczenie lecznicze, magiczne, działające na siły zewnętrzne i te, które tkwią w człowieku. Dlatego uzyskanie takiego eksponatu było rzeczą niezwykle trudną. Z innych ciekawostek, to rekada, rodzaj siekierki, będącej symbolem władzy wodza plemienia. Cała ekspozycja afrykańska pochodzi z Rodezji Północnej (plemiona Bantu), a także z pogranicza Tanzanii i Mozambiku (plemiona Makonde).

WIZYTÓWKA MIASTA

O znaczeniu muzeum dla Pabianic nie powinno się mówić. Jest to sprawa oczywista. Z-ca kier. Wydziału Kultury, Kultury Fizycznej i Turystyki Urzędu Miasta — Urszula Jaros, powiedziała, że w kulturze miasta muzeum jest największą placówką, która poza normalną działalnością statutową (naukowo-badawczą) prowadzi działalność propagatorską, instruktorską i wychowawczą. Z różnych kół zainteresowań, działających przy muzeum, wyszło wielu wybitnych i znanych dziś w kraju ludzi sztuki, naukowców, artystów. Muzeum jest najlepszą wizytówką Pabianic.

Pabianice, mimo sąsiedztwa potężnej Łodzi, stanowią dość interesującą enklawę, pozbawioną zupełnie kompleksów małomiasteczkowości. Jest tu muzeum, biblioteka (3 filie działające w opłakanych warunkach lokalowych), ośrodek instrukcyjno-metodyczny (wykonuje prace, którymi winien zajmować się dom kultury, gdyby taki tu istniał), KMPiK „Ruch", 7 świetlic związkowych, Spółdzielczy Dom Kultury przy Spółdzielni Mieszkaniowej, MDK, stowarzyszenia społeczno-kulturalne (Towarzystwo Przyjaciół Pabianic, Tow. Literackie im. A. Mickiewicza, TWP, Koło Przyjaciół Biblioteki oraz 4 stowarzyszenia śpiewacze), a także Państwowa Szkoła Muzyczna I i II stopnia. Jednakże gdy mowa o kulturze, ma się na myśli muzeum. Na początku wspomniałem o „poszerzaniu ludzkich horyzontów poprzez sztukę". Znajduje to potwierdzenie w licznych wycieczkach i odwiedzinach indywidualnyh. W ciągu trzydziestu lat uległy zmianie ludzkie gusta i przyzwyczajenia. Jakże często do muzeum przychodzą rodzice z dziećmi. To już to drugie pokolenie, które kiedyś w tych salach uczyło się poznawać malarstwo i słuchało muzyki. Dziś przyprowadzają swoje dzieci by im także zaszczepić miłość i nawyk obcowania ze sztuką. A iluż jest takich, którzy przychodzą do Marii Kepler po poradę jak ustawić meble w domu, jakie kupić zasłony, czy jaki obraz zawiesić na ścianie własnego mieszkania.

Opuszczając gościnne progi pabianickiego muzeum, zapomniałem o jednym: nie zapytałem, kiedy ta czwórka zapaleńców odpoczywa? I czy w ogóle znane jest im pojęcie tego zwyczajnego słowa?

EUGENIUSZ IWANICKI

Muzeum regionalne w Pabianicach założone w 1907 r.

TELEWIZJA

WSTĘGI HISTORII

„Tak oto obraz kinematograficzny, w którym tysiąc klisz składa się na jedną scenę, a który powstaje między źródłem światła a bielą ekranu, sprawia, że umarli ożywają i powracają nieobecni. Zwykła taśma celuloidowa naświetlona, stanowi nie tylko dokument historyczny, lecz także cząstkę historii — historii, która nie umarła i do której wskrzeszenia nie potrzeba geniuszu. Historia bowiem tylko zasnęła; podobna do pierwotnych organizmów, żyjących życiem ukrytym i budzącym się po latach pod wpływem ciepła i wilgoci, potrzebuje jedynie promienia światła przebijającego wśród ciemności soczewkę, aby się przebudzić i przeżywać na nowo minione godziny".

Słowa te napisał w 1898 roku, a więc w dwa lata po demonstracji kinematografu braci Lumiere, ich operator filmowy, bodaj pierwszy teoretyk filmu, Polak Bolesław Matuszewski w pracy wydanej w Paryżu pt. „Nowe źródło historii".

Trudno o lepszy, bardziej esencjonalny komentarz do przedstawianego obecnie przez telewizję montażowego cyklu dokumentalnego ilustrującego 60-letnią historię Związku Radzieckiego. Stworzono nam rzadką okazję do ujrzenia kadrów unikalnych, ujęć, które przeszły do filmowej legendy burzliwych lat wzrostu nowego ustroju społecznego i władzy radzieckiej. Dokumentalne kroniki lat wojennego komunizmu i okresu kształtowania się nowych zasad bytu społecznego składają się na obraz rzeczywistości radzieckiej, który wywrze decydujący wpływ na oblicze ideowo-artystyczne filmu radzieckiego w całości. W dokumentarnych obrazach tamtych lat tworzył się ikoniczny język eschatologii społeczno-politycznej nowego ustroju; ten język, który najdoskonalszą, najbardziej sugestywną artykulację znalazł w utworach radzieckiej awangardy filmowej, która stylowi obrazowości dokumentalno-kronikalnej bardzo wiele zawdzięcza. Ten sam język, który stworzył wyrazistą stylistykę radzieckiej agitacji i propagandy. Czyż nie jest znaczącym, potwierdzającym ten wpływ paradoksem, że w odcinku poświęconym „dziesięciu dniom, które wstrząsnęły światem" zobaczyliśmy ujęcia ataku bolszewików na Pałac Zimowy z „Października" Eisensteina, a więc filmu powstałego dziesięć lat później i jedynie rekonstruującego tamte chwile.

Kinematografia radziecka zaczęła od kroniki. Do kroniki młoda władza radziecka przywiązywała ogromne znaczenie propagandowe. W znanej z historycznej literatury rozmowy Lenina z Ludowym Komisarzem Oświaty Anatolem Łunaczarskim z 1922 roku wódz Października oświadczył: „Produkcję nowych filmów przeniknięty komunistycznymi ideami, odzwierciedlających radziecką rzeczywistość należy zaczynać od kroniki".

Kronika, publicystyka, film dokumentalny w ogóle będzie stanowił w historii kinematografii radzieckiej rejon nie tylko politycznie najbardziej odpowiedzialny i zobowiązujący, ale również rodzaj wzorca estetycznego, swoistego probierza stosunku kina do rzeczywistości. Zresztą generalną zasadą artystyczną kina radzieckiego, jak i całej sztuki radzieckiej była i jest identyfikacja wartości estetycznych z wartościami ideowo-politycznymi. Ten model sztuki wyłania się z pełną otwartością z archiwalnych taśm dokumentalnych. Radziecki film dokumentalny był filmem w całym tego słowa znaczeniu zaangażowanym, odkrywa on dziś przed nami tego mocno zużytego przymiotnika oryginalny, pierwotny sens. Kino tego okresu było wyrazem wiary w to, co powinno nadejść i co miało się spełnić. Jego agitacyjne ostrze było skierowane w tych, którzy stali z boku zawrotnych przemian, wątpili i nie wierzyli. Cele integracyjne dokumentalnej agitki i filmowego plakatu zakładały określony stosunek do rzeczywistości: akcentowały przede wszystkim jej pozytywy, eliminując trudności wzrostu i nieuchronną, negatywną stronę błyskawicznego postępu. Okres porewolucyjny i lata 20-te, ta „Drang und Sturm Periode" i rzeczywistości i sztuki radzieckiej w pełni usprawiedliwiały ten punkt widzenia.

Filmowa historia Związku Radzieckiego zmontowana z archiwalnych dokumentów jest zatem nie tylko historią Kraju Rad. Jest również historią kina radzieckiego, przypomina jego klasyczne obrazy, daje niepowtarzalny smak jego rewolucyjnej retoryki. Pierwsze kadry tej historii pisanej filmową kamerą na celuloidowej wstędze były zanotowane przez ludzi, którzy na trwałe weszli do historii kina światowego: Wiertowa, Tissego, Kaufmana, Lemberga, Lewickiego. Zapisywali oni entuzjazm i patos „chwili, która była piękna".

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Od początku kusiła mnie ta budowa. Z okna sąsiadującego z nią wieżowca widziałem jak pojawiły się pierwsze wykopy. To w jednym z nich starszy mistrz zmianowy Jan Sobański znalazł damski rewolwer w słoju wecka...

Potem obsiadły brzeg wykopu pakamery. Coraz częściej nadjeżdżały wyładowane ciężarówki. Przyglądałem się, wciąż ze swojego szóstego piętra, jak betonują ławy. Nagle robota stanęła.

Któregoś dnia ostro zaświeciło słońce. A kiedy spojrzałem w dół coś błysnęło i zaćmiło mi wzrok: tam znów pojawiła się woda...

TOMASZ SOLDENHOFF

JEDNA NOC NA BUDOWIE WIEŻOWCA

Foto: Archiwum

Jest 24 października 1977 roku, jedenasta wieczór. Mgła gęstnieje.

Starszy mistrz zmianowy **Jan Sobański** siedzi za stołem w blaszanym baraczku.

— Pyta pan o ten wykop? Tak, i ja robiłem go. Do połowy szło normalnie, aż tu widzimy, że grunt coraz rzadszy, woda...

Roboty wstrzymano, trzeba było zmieniać projekt, ławy obniżać, zrobić odpływ do Bałutki, a na pozostałą, jeszcze nie zabetonowaną połowę wykopu wylać jednolitą, betonową płytę. Teraz w piwnicach już nie ma wody.

Ściany baraku, w którym siedzimy tłumią hałasy z zewnątrz, choć budowa nr 23 rozłożyła się na jednej z gwarniejszych, łódzkich, nowomiejskich ulic. Wielkopolską przez całą dobę jeżdżą autobusy, a odkąd przy jej skrzyżowaniu z Aleją Włókniarzy trwa przebudowa mostu nad Bałutką — powstaje tam również druga, równopadła nitka ulicy — tuż obok zaś LPBU buduje nowy wieżowiec, ruch i gwar do późnych godzin nocnych wzrósł niepomiernie. Sobański:

— Ci drogowcy nas przyciskali, żeby im odstąpić kawałek placu. A my tu mamy 300 metrów kwadratowych pod elementy ... — Panowie — mówię do nich — nam ciasno jak cholera, a wy jeszcze chcecie zabrać pół z tego?

Po rozmowie Sobańskiego z drogowcami na bramie budowy pojawił się... zakaz krętu w prawo. Ciężkim „Tatrom" Łódzkiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Uprzemysłowionego zabroniono jeździć przez świeżo postawiony mostek. Wioząc płyty z betoniarni na Kozinach i Żubardziu, muszą one teraz zataczać koło: Aleją Włókniarzy, Pojezierską, Brukową, przez wiadukt na Żabieńcu, Woronicza — do Wielkopolskiej.

Tymczasem na budowie nr 23 jest rzeczywiście ciasno.

O zmagazynowaniu elementów na cały wieżowiec nie ma nawet co marzyć. Każda awaria dźwigu uniemożliwia rozładowanie na bieżąco dostarczanych płyt. Ich rezerwa, z powodu braku miejsca, jest na budowie niewielka. Montaż może iść z zaledwie półkondygnacyjnym wyprzedzeniem. Co zaś znaczy brak miejsca pod elementy i jakie są skutki postojów żurawia — mogłem się sam przekonać.

Montaż wieżowca rozpoczęto 1 września 1977 roku. Parter stanął w trzy i pół dnia, a więc z półdniowym w stosunku do harmonogramu wyprzedzeniem.

Budowa pierwszego piętra powinna trwać sześć dni. Trwała osiem...

Sobański otwiera dziennik budowy.

— Z powodu braku elementów od 8 września trzecia zmiana w ogóle została zniesiona. Fabryka płyt na Wieniawskiego zaspokajała nasze zapotrzebowanie tylko w dwudziestu procentach. Tak cackaliśmy się na dwie zmiany przez dwa tygodnie, aż do czwartego piętra...

Ale dźwig staje nie tylko wtedy, gdy brakuje elementów. Na przykład od 15 do 17 września wiały silne wiatry, a to gorsze niż mgła. — **W takich razach** — mówi Sobański — **kotwiczymy dźwig i cześć pracy — na górze oczywiście, bo są jeszcze roboty zastępcze jak sprzątanie gruzu, plantowanie piwnic itp.**

22 września z kolei padał deszcz.

— Ale i na deszczu też się robi — wtrąca robotnik **Marian Kudasiewicz** z brygady **Kazimierza Kowalskiego.**

— Robi się, robi... — przytakuje majster — **Ale jak ciuchy przemokną, to ile można człowieka trzymać na deszczu?**

— Mistrzowi to dobrze, siedzi w ciepłym — żartuje Kudasiewicz, śmiejąc się do Sobańskiego. Obaj dobrze wiedzą, że majster przez te trzydzieści osiem lat na różnych budowach swoje wybiegał.

Kiedy później, już nad ranem żegnając się spytałem Sobańskiego, czy czuje się odpowiedzialny za ten 11-kondygnacyjny wieżowiec, majster powiedział:

— Komisji odbiorczych jest od groma i ciut ciut, a protokołów... — Żeby tego wszystkiego dopilnować, można wścieklizny dostać. A przecież zdarzało się, że byłem sam na budowie i wszystko to spadało na mnie. Ale domy jakoś stoją... Ja sam zaś przez tych 38 lat przyzwyczaiłem się do odpowiedzialności.

Jan Sobański urodził się, jak sam mówi, na warsztacie stolarskim, ale wbrew rodzinnej profesji poszedł na budowę.

To był rok 1941. Sobański miał wtedy 14 lat. Zaczepił się w niemieckiej firmie, tam nauczył się murarki. Szkoły skończył po wojnie. Z początku budował w powiecie: fabryki, biurowce, POM-y, agronomówki, pawilony handlowe.

Po latach przeniósł się „na mieszkaniówkę". To on postawił na osiedlu Zgierska — Stefana pierwsze dwa bloki przy Kochanowskiego. W tym czasie zapadł na nogi, nie mógł chodzić po schodach, dali go więc na grupę poprawkową. Za pół roku znowu wrócił na produkcję.

Ostatnio stawiał Sobański dwa bloki pod patronatem ZSMP. Oddał je latem tego roku, dostał wówczas Odznakę Zasłużonego Nauczyciela i Wychowawcy Młodzieży. We wrześniu przyszedł na budowę nr 23 przy ul. Wielkopolskiej, a jak za dwa miesiące skończy wraz z kolegami ten wieżowiec, przenosi się na „Rogatkę", na ulicę Szczecińską gdzie czekają już na niego koparka, biuro, baraki i... nowe osiedle — Teofilów — D — do wzniesienia.

Za Sobańskim — ojcem poszedł syn. Ojciec jest majstrem, syn — kierownikiem budów. Ale przez trzy lata praktykował u ojca. Jurek jest sumienny, uczciwy, z ludźmi dobrze żyje, cenią go w dyrekcji.

— Ojca się radzi?

— Ba, żeby tylko radzi... ale ciągnie na swoją budowę!

Sobański przerywa i słychać buczenie. To żuraw zmierza w stronę betoniarki, opuszcza ramię z pustym pojemnikiem. Kudasiewicz, do którego na zmianie należy zrobienie zaprawy, podanie jej na górę i zapinanie elementów na wciągarce, wybiega z baraku.

Nie mija wiele minut, a Kudasiewicz jest znowu w drzwiach. Sobański tymczasem dalej wertuje karty dziennika.

— Najbardziej denerwujące są awarie dźwigu. O, proszę — czyta — postój: spalone styczniki, do tego jeszcze opady ciągłe, pięć godzin postoju: brak skrętu w lewo, następny postój: spalone styczniki, naprawili dopiero o dwudziestej drugiej — sześć godzin postoju, kolejna awaria: brak powrotu, trzy godziny naprawa wciągarki, postój: spalone styczniki....

Teraz Sobański podlicza wszystkie godziny postojów: 10, 22, 46, 51, 54, 60, 70, 90, 92, 94! Co to znaczy?

To znaczy, że od pierwszego września dźwig stał w sumie przez c z t e r y dni nieczynny! Przekładając na język bardziej obrazowy: **cztery dni to jedna kondygnacja do „tyłu"**. Dla robotników — **strata czterech dniówek.**

Minęła północ. Mistrz Sobański ocenia wyniki minionego dnia. Muszę przyznać, że trafiłem fatalnie. Dwudziestego czwartego października dźwig stał od piątej rano do trzynastej i od trzynastej do siedemnastej — d w a n a ś c i e godzin — czyli przez prawie całe dwie zmiany!

— Ciekawe, kto za to zapłaci — rzuca retoryczne pytanie Kudasiewicz.

— Cóż, teraz wy musicie gonić — stwierdza smutno majster.

Wieżowiec ma być oddany do 31 grudnia. Jeszcze tydzień na poprawianie usterek i od 10 stycznia, jak ocenia Jan Sobański, lokatorzy będą mogli odbierać klucze.

Zakończenie montażu przewidziano na 29 października. Dyrektor powiedział ponoć: jeśli mimo tych trudności zdążycie skończyć dziesiąte piętro i zacząć dach w tym terminie, obiecuję ekstra każdemu po tysiąc złotych...

W poniedziałek, 24 października został jeszcze kawałek dziewiątego piętra: grodzenie ścian mieszkań, położenie brakującej dotąd połowy stropu, ale brygada Kowalskiego weszła już na dziesiąte piętro. Przez pięć następnych dni muszą je skończyć. Czy zdążą?

A może zaufać mistrzowi Sobańskiemu, który mówi:

— Skończą do soboty! Dziesiąte będzie przykryte. Dostaną tę premię!

Czy majster musi być optymistą, skoro wszyscy pozostali psioczą ile wlezie — **na ten spalony silnik, na dwanaście godzin postoju, na transport, który odczekawszy swoje odjechał tak samo jak przyjechał — nierozładowany (a transport pracuje tylko do piętnastej, dźwig zaś naprawiono dopiero w dwie godziny później), na brak elementów?**

Zbliża się pierwsza w nocy.

— Za chwilę zjadą na „śniadanie" — mówi Sobański.

W przeciwieństwie do trzech stojących nie opodal wieżowców, budowanych (po raz pierwszy w Łodzi) systemem W-70, ten nowy wieżowiec powstaje systemem ŁSM-75.

Standard ŁSM-ów nie jest wprawdzie od W-70 wyższy, ale metraż jest większy. Kubatura 11-kondygnacyjnego wieżowca wyniesie ponad 16 tys. metrów sześciennych, długość — 45 metrów, wysokość prawie 39 metrów. Budynek będzie miał dwie przestronne klatki schodowe, 65 mieszkań dla 275 mieszkańców, przy czym połowę bloku kupił „Ortal", który pomaga budowlanym organizując żołnierzy z zaprzyjaźnionej z zakładem jednostki.

Majster Sobański opowiada jak znalazł w wykopie damski rewolwer wielkości podręcznej latarki, z amunicją, zalany oliwą w litrowym słoju wecka (a jakże: gumka przepisowo założona, na to dwie blaszki) — i ile z tą spluwą było jeżdżenia po komendach, ile pytań i protokołów; tymczasem, winda, dziarsko wspinając się szybem wzdłuż zewnętrznej ściany bloku, rozcina ciemności i wynosi nas na dziewiąte piętro.

Ale na dziesiątym piętrze, gdzie pracują **brygadzista Kazimierz Kowalski** i **Kazimierz Sadowski** platforma rosnącego piętra jest rzęsiście oświetlona „goliatkami". Mgła jednak jest tak gęsta, że nie widać stąd dziś ani jednego światła Łodzi.

— Widać tylko początek przepaści — uśmiecha się Sobański.

Każdą kondygnację zaczyna budować się od szczytu i ścian poprzecznych przez obie klatki schodowe. Następnie idą ściany podłużne, potem łazienkowe — to już grodzenie mieszkań. Wtedy wchodzą spawacze, murarze. Dopiero gdy leży strop, robi się ściany osłonowe, frontowe.

Dwójka robotników przyjmuje właśnie w ramiona kolejny, trzytonowy element. Powoli stabilizuje się w pionie, obaj Kazimierze pomagają mu w tym, podpierając go łomami, a następnie skręcając go z obu stron w żelaznych podpórkach.

Teraz można zluzować element, zdjąć z dźwigarki. Wieżowiec jest cięższy o dalsze trzy tony.

Brygadzista przykłada pion.

— Do cholery, na ciebie, Kaziu, leci! — a potem do operatora — **Stasiu, trochę niżej!** Znowu pod ścianę idą łomy, trzeba mocniej docisnąć wsporniki.

— Odpinaj!— Uwolniona dźwigarka energicznie podrywa się w powietrze, ramię sunie z powrotem tam gdzie leżą płyty.

— Stasiu, masz jeszcze „wu-wu"? — pada w mrok.

— Jeszcze jedna jest! — dobiega głos z kabiny.

— No to jedź!

Ostatnią lukę w poprzecznej ścianie uzupełni jeszcze jeden element. Ostatni już dzisiaj. Płyt „wu-wu" zabrakło.

— Na dół, na dół! Trochę obrotu mu daj! Trochę do przodu!

— Wołają do operatora z góry, dopasowując ściankę, która musi zmieścić się między dwie, już stojące i haczy.

Dźwig skrzypi, buczy, trzeszczy i dudni na przemian. Zdaje mi się, że widzę w ciemnościach wytężone w wysiłku oczy operatora. **Ten żuraw** (80 tonometrów) **jest za krótki** (przydałaby się tu „setka" Tm). Na poziomie oczu operatora znajduje się dziewiąte piętro. Tego, co się dzieje dwa metry i sześćdziesiąt centymetrów wyżej, na dziesiątym piętrze, oczy te już nie widzą. Trzeba je pilotować...

— Aaa, spitoliłeś Stasiu! — wzdychają na koniec obaj Kazimierze, choć ostatnia płyta jest już szczęśliwie na swym miejscu. Z dźwigu zaś słychać:

— Kolacja?

— I fajrant, majster, na dzisiaj. Nie ma elementów — nie ma pracy. Idź po taksówkę i odwieź nas do domu...

Jest dopiero pierwsza czterdzieści, a my zjeżdżamy. Na dole majster zamyka windę.

W budzie dobrze nagrzane. Walają się tu kaski, łachy wysypują się z pootwieranych szafek. Sadowski rozciąga się na ławie, dyskusja o tym jak w środku nocy dojechać do domu nie obchodzi go. Najbliższy pociąg do Głowna ma dopiero rano... Maniek Kudasiewicz już zdążył się umyć. Gryząc jabłko ściąga walonki i zakłada eleganckie, brązowe półbuty z dyskretnym połyskiem, a w miejsce kufajki — nowiutki sweter.

Operator Staszek wbity w czarną „skórę" czesze przed lusterkiem bujną pierezę. On też „pryska" najprędzej.

Brygadzista Kowalski, nie zdjąwszy kasku, statecznie rozwija chleb z mielonką. Maniek przynosi mu kawę w butelkach po „Stołowej".

O dziwo jeszcze chce im się rozmawiać o tej drugiej w nocy, a tematy tej pogawędki zaskakują mnie trochę...

Rozmawiają o pracy: krytykują projektantów, wymyślają co powinno się w mieszkaniach ulepszać dla ludzkiej wygody, wybiegają myślami do tego co czeka ich jutro na górze.

— To nie mogli inaczej wygospodarzyć? — Kowalski medytuje nad rzutem M-6. — **Osiemdziesiąt dwa metry! Ten będzie miał mieszkanie, co? Pół klatki zajmie! Ciekawe ile wyda, żeby je umeblować?**

Palące problemy mieszkaniowe nikogo w tym gronie nie dziwią. **Może dlatego, że sami te kłopoty znają od podszewki, więcej, doświadczają ich na własnej skórze.** A poza tym sami, jak choćby Marian, starają się o mieszkanie.

— Jak dźwig nie nawali, to elementów nie ma, jak są elementy, to nie ma pogody — zwięźle podsumowuje relację Sobańskiego o tych 15 zamiast... 30 postawionych dziś na trzeciej zmianie elementach, dozorczyni **Maria Myśliwiec,** kiedy z mistrzem wracamy do baraku biura.

Wypisuję z zeszytu mistrzów zmianowych:

„18 października: Na rany, zróbcie żesz ten silos, przyspawać trzeba rączki. Dźwig nawalony — spalony stycznik. Z PGMB (— Przedsiębiorstwem Gospodarki Maszynami Budowlanymi — przyp. mój — T. S.) rozmawiałem i mogą przyjechać dopiero rano. Nasze prośby na nic się nie zdały. Dźwig nie mógł wciągnąć ani jednego elewatora"...

„19 października: P. Jarosz! Załatw Pan przyspawanie tego „ruchadła" do silosu, bo mi życie zatruwają II i III-cia zmiana"...

„20 października: Józiu! Przypomnij kierowniczce o wacie na poddasze i zwróć uwagę czy rano jest Zachwieja bo wziął chorobowe o 14 do 21 go nie było"...

— Oj, licho ten tydzień się zaczął — wzdycha Sobański. Wyciąga z szuflady linijkę i odkreśla kolejny dzień w dzienniku budowy, a potem odbiera mi zeszycik dyspozycji i pod datą 25 października zapisuje równym, starannym pismem dla swego zmiennika i szefa Józefa Jarosza, który przyjdzie tu przed piątą rano:

„Józiu! Przekaż Widawskiemu, ażeby zmontował szczyt na X p. w dzień, bo w nocy nie ma już możliwości, bo są już ściany"...

Spoglądam na zegarek: **jest czwarta osiemnaście.**

Kiedy następnego wieczora zjawiam się przed północą na budowie, mży deszcz. Sobański jednak komunikuje krótko:

— Blok idzie w terminie.

Tym razem jednak majster nie ma czasu na pogawędki. Zastępuje kolegę na dole, Kazio nie dojechał z Głowna.

Nagle dźwig, który przez dłuższą chwilę mocował się z zaklinowaną wśród innych płytą, staje, a element zawisa bez ruchu w powietrzu, na wysokości drugiego czy trzeciego piętra. Z góry dobiega głos zdenerwowanego Staszka:

— Siły nie ma! Napięcia!

Sobański idzie do odległej o kilkadziesiąt metrów betoniarki. Zapuszcza silnik bez trudności. Napięcie jest.

Ale żuraw z niemałym już trudem opuszcza dyndającą w powietrzu płytę. Operator wyskakuje z budki, szarpie się z jakimś żelastwem, blachy pokryw dźwięczą przeraźliwie.

— Wyłącza mi zasilanie! Silnik buczy, nie wiem co to jest. — skarży się Sobańskiemu. A ten:

— Koń stary, spracowany, a jeszcze się go bije...

— Jeden silnik nie pracuje. Muszę zadzwonić po pomoc — słychać z góry.

— Psia krew — pomstuje Sobański

— Nic już dziś z roboty...

O trzeciej nad ranem w sobotę, tuż przed złożeniem reportażu do druku, raz jeszcze odwiedzam budowę nr 23.

Mistrz Sobański przeciera zaczerwienione oczy i mówi bez zbędnej emfazy:

— Zdążyli, oczywiście że zdążyli, kończą już dziesiąte piętro, zaczynają strop. Premia będzie.

Od nocy z wtorku na środę, kiedy ostatni raz byłem na budowie, dźwig psuł się jeszcze dwa razy. W czwartek jedna ze zmian pracowała tylko dwie godziny, przez sześć godzin dźwig stał. W piątek na zmianie dźwig stał cztery godziny, przez pozostałe cztery — pracował. Gdyby nie te **130 godzin postoju żurawia (to jest przeszło p i ę ć dni!)** od pierwszego września, dach byłby już skończony, a cały wieżowiec oddany dla prac wykończeniowych — na dwa dni p r z e d terminem. Gdyby...

Wspomnijmy jeszcze raz tych, którzy dotrzymali danego dyrektorowi słowa: Marek Jabłoński — kierownik budowy, oraz Jarosz, Sobański, Widawski, Falczewski, Kowalski, Sadowski, Kudasiewicz i wszyscy ci, których nie zdołałem już poznać, a którzy w tym szeregu dzielnych powinni się znaleźć

MIROSŁAW KUŹNIAK

SKARB W DAMSKIEJ POŃCZOSZE

1. SKARB

W 1945 roku córka Grynocha przyjechała z Francji. Jej kuzynka, córka Salamonowicza, zjechała do Łodzi aż z Londynu. Podobno spotkały się na Piotrkowskiej. Jedni twierdzą, że minęły się bez słowa, odwracając głowy w różne strony. Inni opowiadają, że obie, niepomne rodzinnych sporów, poszły na kawę do „Tabarinu".

Okazało się, że kuzynki odwiedziły Łódź nieprzypadkowo. Córka Grynocha miała nadzieję na odzyskanie starej fabryki ojca Córkę Salamonowicza sprowadziła chęć odzyskania skarbów, które rodzina zamurowała w ścianach dawnej fabryki.

Tak zaczęła się powojenna historia dwóch małych łódzkich fabryczek pończoszniczych. Obaj właściciele, Grynoch i Salamonowicz, nie należeli do elity finansowej, takich jak oni było wielu. Nie potrafię podać dokładnej liczby istniejących w tym mieście, choćby tylko w dwudziestoleciu międzywojennym, fabryczek pończoszniczych, ale przypuszczam, że było ich kilka dziesiątków. Na samej tylko ulicy Gdańskiej, noszącej dawniej nazwę Długiej, były cztery. Zresztą w przedwojennej Łodzi liczba fabryk zmieniała się z dnia na dzień. Część właścicieli wzbogacała się i przenosiła do większych murów, inni biednieli lub bankrutowali i zwijali interes. Nie zmieniało się jedynie na szczytach łódzkiej finansjery. Tu zaś wśród pończoszników brylował Naum Eitingon. To on spowodował, że małe fabryczki pończosznicze zaczęły podupadać, nie wytrzymując konkurencji z nowoczesnymi maszynami, jakie pan prezes zainstalował w swojej fabryce.

Wielokrotnie na krawędzi bankructwa stał Salamonowicz. Choć przetrwał najcięższy okres, to jednak nigdy już nie wcisnął się do łódzkiej elity fabrykanckiej. Więcej szczęścia miał Boruch Grynoch, szwagier Salamonowicza, który dorobił się majątku, zmieniając przy tym fabryki trzykrotnie w ciągu dwudziestu lat.

Zaczynali obaj szwagrowie skromnie: od jednego budynku na Długiej. Na parterze zainstalował maszyny Salamonowicz, na piętrze Grynoch. Gdy zaczynali w rodzinie było święto, szwagrowie przyrzekali sobie pomoc. Obaj byli biegłymi kotoniarzami, nauki pobierali w niemieckich fabrykach. Pomagał więc Salamonowicz Grynochowi w ustawieniu maszyn. Biegał Grynoch na parter, gdy stawała maszyna Salamonowicza. Wkrótce jednak skończyła się rodzinna idylla. Trudno dzisiaj dociec, jakie były przyczyny sporu, jedno jest pewne, interes nie znosi sentymentów, a już Grynoch i Salamonowicz sentymentalni na pewno nie byli.

— Panie Salamonowicz, ja się panu w interes nie wtrącam, ja pana proszę, nie buntuj mi ludzi — mówił Grynoch, gdy dowiadywał się, że szwagier kaperuje mu robotników.

— Panie Grynoch, ja panu radzę, nie unoś się pan, ludzie wolą pracować w moim interesie, bo ja płacę! Pan wisz ile ja płacę? Siedem złotych za tuzin! Aj, aj, siedem złotych, niech ja stracę. A pan?

Ale Grynoch przerywał dyskusję z hukiem zatrzaskując drzwi od swojej fabryczki. Wiedział, że z Salamonowiczem nie wygra na gębę, zresztą taka rozmowa o płacach przy otwartych drzwiach nie mogła przynieść niczego dobrego.

W rok później Grynoch zemścił się na Salamonowiczu. Gdy wyprowadzał się do nowej fabryki, na piętrze, rozwiesił napis: „Mechaniczna fabryka przenosi się na ulicę Wólczańską 45".

Salamonowicz rwał włosy z głowy, jego fabryka zostawała przecież w starym budynku.

— Taką rzecz mi zrobić, taką rzecz — biadał — To nie jest szwagier, to jest świnia!

Dziwili się więc ci, którzy w czterdziestym piątym spotkali córki Salamonowicza i Grynocha na kawie w „Tabarinie". No, ale zmieniły się czasy, rodzinne spory poszły w zapomnienie. Kuzynki nie spotkały się na rodzinne pogaduszki, lecz obie poczęły radzić, w jaki sposób wydostać skarby z fabrycznych murów.

Energiczniejsza była córka Salamonowicza. Jeszcze tego samego dnia najęła kilku robotników, którzy zaczęli kuć w murze dziurę. Przy okazji nie obyło się bez tajemnych obliczań, bo Salamonowiczówna, choć była obecna przy zamurowywaniu skarbu, to jednak pamięć miała nieszczególną i musiała ją wspierać planem wyrysowanym na karteluszku. Nie wiadomo, czy plan był niedokładny, czy obliczenia czynione w zrozumiałym pośpiechu i zdenerwowaniu zawiodły, dość, że robotnicy choć przebili mur na wylot skarbu nie znaleźli. Nawet sarkali, gdy im nakazała drugą dziurę wybijać. Ale tym razem dopisało im szczęście. Słoik stał nietknięty. Nie wiadomo, ile wtedy złota i drogich kamieni wywiozła latorośl byłego łódzkiego fabrykanta.

Mniej zapobiegliwy był Boruch Grynoch. Złota i diamentów nie powierzył fabrycznym murom. Jego córka przyjechała po... maszyny.

Któregoś dnia przyszła po prostu do fabryki. Zobaczył ją na sali Mieczysław Walczak i poznał, bo Grynochównę znał od dziecka. Kiedy zaś wyłuszczyła mu powód wizyty w fabryce, Walczak wziął ją pod rękę, do drzwi podprowadził i powiedział:

— Niech pani wraca, skąd przybyła. O maszynach lepiej zapomnieć. Należą teraz do nas, robotników pani ojca. Do widzenia.

I to wszystko. Drzwiami tylko trzasnęła, tak jak dawniej trzaskał stary Boruch Grynoch, gdy krzyczał na niego szwagier Salamonowicz.

2. ZAWÓD KOTONIARZ

Zdziwiłby się Boruch Grynoch, gdyby usłyszał słowa Walczaka. Bo jakże to, najlepszy robotnik, od lat związany z fabryką, ba, traktowany niemal jak rodzony syn, a takie słowa powiedział. Aj, aj świat się kończy!

— E, dziadek gada, co mu ślina na język przyniesie — macha lekceważąco ręką wnuk Zdzisław Szeroko siedzi na krześle, popatruje na dziadka, czasem uśmiecha się, gdy ten plącze szczegóły opowieści.

— Ty, Zdzisiek, jak nie wiesz, to nie przerywaj. Ja się w twoje normowanie nie wtrącam, choć mógłbym, bo ty i za dwadzieścia lat nie poznasz tej roboty, tak jak ja znam — unosi się Walczak.

Dobrze, dobrze — mruczy przepraszająco Zdzisiek. Ojciec siedzący po drugiej stronie stołu już od kilku chwil piorunuje go wzrokiem.

— Dawniej młody, nim wolno mu było odezwać się przy starszych musiał przepracować w fabryce sporo lat. Teraz inaczej, każdy mądry, a już tym młodym wydaje się, że rozumy pozjadali.

— Dziadku, gdyby mnie taki Grynoch uważał za syna, to bym go poprosił, aby mi pół majątku odstąpił — uśmiecha się Zdzisiek.

— No proszę, wymyślił. Powiem ci, że on nie musiał dawać mi połowy majątku, bo zdobyłem więcej: zawód, zawód kotoniarza. Czy wiesz, czym był przed wojną zawód kotoniarza? Ech, co ty zresztą możesz wiedzieć!

Przed wojną dobrych kotoniarzy nie było wielu. Stanowili nieliczną grupę robotników. Dostać się do niej nie było łatwo. Kotoniarze należeli do robotników wysoko kwalifikowanych. Zawód ich wymagał samodzielności, od decyzji kotoniarza zależała jakość delikatnych damskich pończoch. Błędna decyzja, na przykład dotycząca stopnia rozciągłości surowca, powodowała straty. Biły one po kieszeni nie tylko właściciela, ale i robotnika, ponieważ kotoniarze wynagradzani byli od ilości wyprodukowanych wyrobów.

Ten system wynagradzania powodował, że dobry kotoniarz mógł zarobić o wiele więcej niż tkacz czy prządka. Niektórzy zarabiali nawet po 170 zł tygodniowo. Jeszcze lepiej zarabiali stopkarze. Zdarzały się tu zarobki sięgające 250 zł tygodniowo. Zawrotna kwota, jeśli zważyć, że na bardzo skromne utrzymanie wielu rodzin robotniczych musiało starczyć 25 złotych tygodniowo. To była ogromna przepaść. Napychaczka, tak samo pracująca przy maszynie kotonowej zarabiała zaledwie 100—120 zł. Różnica tak widoczna, że nawet wśród robotników kotoniarze uważani byli za „arystokrację". Przed fabrykami pończoszniczymi zawsze stały kolejki oczekujących na pracę. Ale zawód kotoniarza niełatwo było zdobyć. Starzy niechętnie dopuszczali do maszyn młodych. Gdy zaś właściciel decydował się na przyjęcie owych robotników, kotoniarze przyprowadzali swoich synów.

Mieczysław Walczak trafił do Borucha Grynocha przypadkowo. Rodzice Mietka przyjechali do miasta z dwóch różnych podłódzkich wiosek: matka spod Zgierza, ojciec spod Aleksandrowa. Ojciec trafił do prywatnego warsztatu stolarskiego, wyuczył się fachu i całe życie kleił meble. Matka zaś dostała pracę w fabryce jako prządka. Mieszkali na Widzewskiej, w niewielkiej czynszowej kamienicy. Tu do sąsiadki, młodej i niebrzydkiej wdówki zachodził kotoniarz od Grynocha. Kotoniarz miał żonę i czworo dzieci, ale żona była kłótliwa, a dzieci rozwrzeszczane. U wdówki znajdował kotoniarz spokój i ukojenie, których to rzeczy ze względu na swarliwość żony i wrzaski dzieciaków nie mógł oczekiwać w domu.

Właśnie jego prosił Walczak o protekcję u Grynocha. Dobrze trafił, bo kotoniarz w czasie wizyt u wdówki miewał dobre humory i łaskawym okiem patrzył na świat. Kazał też zaraz przyprowadzić sobie Mietka, obejrzał do dokładnie, pomacał muskuły, z gazety daleko leżącej nakazał przeczytać sobie słówka, bo — wiadomo — co jak co, ale kotoniarz musi mieć sokoli wzrok. Skrzywił się, gdy mu chłopak powiedział, że ma piętnaście lat. W końcu orzekł:

— Mały jest, ale się nada.

Na drugi dzień ojciec przyprowadził Mietka przed oblicze Grynocha. Boruch Grynoch miał wtedy swoje pięterko w budynku na Długiej. W niewielkiej salce stało tam — jak powiada Walczak — „półtorej maszyny" Jedna — osiemnastogłowicowa — do wyrobu stopek i dwie — ośmiogłowicowe — do cholewek. Grynoch zatrudniał czterech kotoniarzy. Sam wszystkiego doglądał, w razie potrzeby był majstrem, kierownikiem i kasjerem w jednej osobie.

Grynoch mógł nie przyjmować Mietka Walczaka, nawet mimo protekcji, bo właściwie nie brakowało mu robotników. Przyjął go, bo już wówczas snuł plany definitywnego pozbycia się uciążliwego sąsiedztwa szwagra Salamonowicza. Od dłuższego czasu stary Boruch poszukiwał w mieście większej fabryki. W końcu znalazł na Wólczańskiej.

Mietek Walczak został więc uczniem u Grynocha. Na początku pętał się po sali. Burczeli na niego kotoniarze, gdy stawał przy maszynie i przyglądał się, lub próbował dotykać. Przez miesiąc nauczył się zamiatać salę. Dopiero wtedy zagonił go Grynoch do szpurowania Szpurant to jakby najniższa kotoniarska szarża, praca niezbyt trudna, ale wymagająca dokładności i cierpliwości. Dopiero później, gdy właściciel dokupił kilka maszyn awansował Mietek na napychacza. Od szpuranta do napychacza skok duży, ale do zdobycia miana kotoniarza było jeszcze daleko. Trzeba było jeszcze przejść etap kotoniarza cholewkowego, żeby zostać stopkarzem. To stopkarze, a więc robotnicy robiący wymodelowane stopki pończoch, zarabiali najwięcej.

Mietek był napychaczem, ale wciąż marzył o pracy na tej największej maszynie, na której od razu można było zrobić osiemnaście pończoch.

Obsługiwał ją Niemiec z Aleksandrowa, Scheller. Nie dopuszczał do niej nikogo, a już Mietkowi nie dał jej prawie tknąć. Zachodził go chłopak z tej i tamtej strony, po cygarety biegał, gazetę kupował i nic. Boruch Grynoch musiał dostrzec to zainteresowanie chłopaka, bo nawet naszeptywał coś do ucha Schellerowi.

Któregoś dnia Scheller wziął Mietka na bok i powiedział: — Nauczę cię zawodu, bo widzę, żeś chętny. Ale stawiam warunek: musisz mi za naukę zapłacić tysiąc złotych.

Taka była stawka, zresztą nie tylko w fabryce Borucha. Tyle żądali starzy kotoniarze w innych fabrykach pończoszniczych. Niełatwo i nietanio dostawało się do „arystokracji robotniczej".

Długo jeszcze byłby Mietek Walczak napychaczem, gdyby nie pomógł mu przypadek. Grynoch pokłócił się z Schellerem. Nie wiadomo o co poszło. Któregoś dnia Scheller nie stanął przy maszynie i Grynoch musiał przesunąć na jego miejsce innego doświadczonego kotoniarza. Obok niego stanął Mietek Walczak.

Po roku dostał pierwsze wynagrodzenie: Boruch Grynoch dał mu 50-złotową gratyfikację. Zbiegło się to z nowym zakupem maszyn, tym razem okrągłych, na których produkowało się skarpety. Jedną z nich zaczął obsługiwać Walczak Zarabiał nieźle, Grynoch płacił po 7 złotych za tuzin. Mietek zaczął więcej zarabiać niż ojciec i matka

Po kilku latach zaczęli Walczakowie myśleć o budowie domku.

— Daj spokój, tata, o domku nie ma potrzeby mówić — wtrąca się syn Bogdan. — Było, minęło.

— Dlaczego mam nie mówić o domku? Przecież to jest... — Walczak szuka odpowiednich słów ... — dorobek mojego życia. Może nie?

— Domek stoi, a jakby go nie było — dorzuca Zdzisiek.

— Już ci mówiłem, żebyś się nie wtrącał — irytuje się Walczak.

— To było tak. Dziadek dom wybudował i mieszkał w nim przez całe lata. Niedawno okazało się, że domek do niego nie należy. Wyrzucono nas z niego.

— Zdzisiek, daj spokój! Przecież nikt nas nie wyrzucał, sami się wyprowadziliśmy. No, tatusiu, sami czy nie?

— Ale w sądzie...

— Dajcie mi dojść do głosu! Zagadają pana na śmierć. Z tym moim domkiem to jest nieprosta sprawa. Przed wojną każdy robotnik, gdy uzbierał trochę pieniędzy, zaczynał budowę. Wie pan, czym był taki domek? Widomym znakiem życiowego sukcesu. Zaczęliśmy z ojcem stawiać fundamenty na kilka lat przed wojną. Ojciec zapożyczył się, ale dom stanął. Zamieszkali w nim rodzice, a potem ja z żoną, moja córka z mężem. W domku urodził się mój wnuk. Zdzisiek. Do domku wprowadzili się także siostra i bratanek. No i zaczęły się swary o rodzinną schedę. Wyprowadziliśmy się z domku. Mieszkamy teraz w blokach.

— Niewiele zostało z tego życiowego dorobku dziadka — kwituje Zdzisiek.

— Co ty tam wiesz — macha ręką Mieczysław Walczak. — Najważniejsze, że wszystkich was wyprowadziłem na ludzi.

— A to znaczy, że dziadek zrobił nas wszystkich kotoniarzami. Uważa, że to jest jego najważniejszy sukces.

— A może zaprzeczycie? — uśmiecha się Walczak.

3. NASTĘPCY

Siedzimy przy stole w Radzie Zakładowej. Mieczysław Walczak przycupnął na brzegu krzesełka, najdrobniejszy spośród nas, posiwiały. Syn Bogdan nisko pochylił głowę, rzadko się odzywa. Zięć Czesław uważnie wysłuchuje opowieści najstarszego z rodu. Barbara, jego żona, kręci się na krześle, spogląda na zegarek, niedługo początek drugiej zmiany. Najżywiej reaguje Zdzisiek syn Barbary i Czesława. Ale i on cichnie w miarę opowieści. O wielu rzeczach dowiaduje się pierwszy raz, choć przecież nie obce mu są katoniarskie gadki.

Przyznaję, że miałem obawy, czy uda mi się skłonić tych ludzi, prostych i szczerych, a przecież rzadko mówiących o swoim życiu, do wyznań, do rozmów, które mogłyby stać się materiałem reporterskim. Okazało się, że moje obawy były płonne. Bez zbędnych ceregieli zgadzali się na spotkania, zapraszali do domów, przetrząsali mieszkania szukając pożółkłych dokumentów. Dla starszych były te rozmowy swoistym obrachunkiem z całego życia, niekiedy próbą znalezienia w moich oczach akceptacji, potwierdzenia, że ich życie — pozornie szare i monotonne — było jednak coś warte.

A jednak nie upiększają go, nie przydają mu fałszywego blasku, choć tu i ówdzie aż się prosi o trochę barwniejsze wątki. Są szczerzy. O swoich klęskach mówią krótko, gdy zaś wspominają sukcesy — muszę dokładnie notować. Przeoczenia nie darują. Wypomną.

Walczaków ominęły te najgorsze przypadłości wojny i okupacji. Fabrykę Grynocha przejął niemiecki zarządca, właściciel zaś podzielił los tysięcy swoich pobratymców. Prawie do wyzwolenia Walczak pracował przy swoim „kotonie". Do fabryki wrócił w lutym 45 roku. Trafił na zebranie dawnych robotników Grynocha. Wybrali wtedy spośród siebie kierownika i... rozpoczęli pracę. Zrazu produkcja nie była duża, brakowało surowca, ale z biegiem czasu poczęło ukazywać się na rynku coraz więcej eleganckich damskich pończoszek.

W owym czasie były kłopoty z tymi małymi fabryczkami pończoszniczymi. Nie opłacało się obsadzać w nich stanowiska dyrektorskie, tworzyć administrację, biura, księgowość. Mogłoby dojść do paradoksalnej sytuacji, że liczba urzędników przewyższyłaby liczbę robotników. Wybrnięto więc z tego kłopotu w sposób iście salomonowy. W fabrykach utworzono stanowiska samodzielnych kierowników, którzy podlegali bezpośrednio Zjednoczeniu Przemysłu Pończoszniczego. Weszła do niego także stara fabryka Borucha Grynocha. W 1949 roku Zarządzeniem Ministra Przemysłu Lekkiego powstają w Łodzi Zakłady Przemysłu Pończoszniczego im. pułkownika Wacława Jurczaka. Dziwna to fabryka, nawet w Łodzi niezwykła: składa się na nią jedenaście oddziałów — dawnych fabryczek — rozrzuconych po całym mieście. Łączyło ich tylko jedno: wszystkie produkowały damskie pończochy.

— Pończocha pończosze nierówna — twierdzi Mieczysław Walczak. — Za Grynocha produkowaliśmy pończochy bawełniane, potem jedwabne, ze sztucznego i prawdziwego jedwabiu. Potem dopiero przyszła wiskoza.

— Panie kochany, dawniej to były piękne pończochy — zachwyca się Walczak. — Każda z szewkiem, z dopasowaną stopką, musiała mieć kształt nogi, bo inaczej po praniu robiła się rura. Dzisiaj nie nadaje się pończochom kształtu, bo stylon jest elastyczny.

Czesław Bogołębski przyszedł do fabryki, gdy zaczynała się stilonowa produkcja. Nie przypuszczał, że właśnie tu nie tylko zdobędzie zawód, ale i znajdzie żonę Bo któregoś dnia Mieczysław Walczak przyprowadził do zakładu córkę. Tak jak nakazywało stare niepisane kotoniarskie prawo. Walczak nie mógł tylko odżałować, że nie chciał kontynuować tradycji syn Bogdan. Poszedł do szkoły samochodowej. Skończył ją i zaczął pracę w warsztacie. Warsztat był mały, samochody nie mieściły się pod dachem, niekiedy trzeba było je reperować pod niebem. Latem jakoś szła ta praca, ale zimą było ciężko. Namawiał Walczak syna do rzucenia tej pracy. Namawiał, perswadował, przekonywał. No i w końcu Bogdan znalazł się w fabryce. Naukę rozpoczął przy maszynie... szwagra.

— Przyznaj się, tato, ile wziąłeś od wujka za tę naukę — śmiejąc się pyta Zdzisiek

— Głupstwa pleciesz — zerka na mnie Czesław Bogołębski. — Tyle, że wyuczyłem Cześka, po kumotersku, to znaczy szybko i solidnie. Jak to w rodzinie.

— A ile przy tym gadali o robocie — wtrąca Barbara. — Gdy razem wracali z fabryki, to jeszcze przed drzwiami pytlowali. Matka nieraz mówiła, że ich te kotony musiały opętać.

Ładne były te dawne pończochy z szewkami. Przez kilka powojennych lat fabryki pończosznicze ledwo nadążały z produkcją. Aż któregoś dnia Jaśnie Pani Moda odmieniła gusty kobiece. Pończochy z szewkiem stały się niemodne, zatriumfowały bezszewkowe, do których nie nadawały się maszyny Kotona. Jeszcze siłą rozpędu szła stara produkcja, ale już tylko wędrowała do magazynu.

Przed jedenastoma oddziałami Zakładów im. Wacława Jurczaka stanął iście hamletowski dylemat: być albo nie być. Podobnie zresztą przed kotoniarską rodziną Walczaków. Po fabryce krążyła plotka, że oddziały zostną zlikwidowane. Chyba najbardziej przeżywał te wieści Mieczysław Walczak. Niełatwo przecież rozstawać się z fabryką, w której przepracowało się ponad trzydzieści lat. Fabrykę uratowali sami pracownicy. Zygmunt Cyndler, Mieczysław Grzegorzewski i Lucjan Wysłowski przeprowadzili w starych kotonach drobne przeróbki, które pozwoliły na rozpoczęcie modnych i poszukiwanych rajtuz, reform, fig. Zakład pomału zaczął wycofywać się z produkcji pończoch. Walczakowie znowu stanęli przy maszynach, choć Mieczysław żałował trochę dawnych dobrych czasów, gdy robiło się damskie pończoszki.

W kilka lat później niewielu już wspominało dawną produkcję. Znów przeprowadzono drobne rekonstrukcje maszyn kotoniarskich i zaczęto wyrabiać damskie bluzki z wełny i modylenu.

Pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy powstają nowe odmiany przędzy teksturowej w fabryce tworzy się nowoczesne modele bluzek, kąpielówek i spodenek. To właśnie wtedy zagraniczni odbiorcy zmusili fabrykę do zmiany nazwy. Uproszczona brzmi teraz: „Iwona".

Ta zmiana przypadła na pierwsze miesiące pracy wnuka Mieczysława, Zdzisława. Zaczął pracę w dziale normowania. Biegał od maszyny do maszyny i mierzył ręcznym stoperem czas potrzebny kotoniarzowi do wyrobu dziewiarskiego kompletu.

— Ale dziadek i tak był najlepszy — mówi Zdzisiek. — Od razu było widać, że to doświadczony kotoniarz.

Dziadek kraśnieje rad z komplementu wnuka. Pewnie mu już wybaczył te docinki o Grynochowym majątku. Zresztą, co może wiedzieć taki młodzik o Grynochu i pracy w małej fabryczce. Nic, chyba tyle tylko, ile w domu usłyszał. Dobrze chociaż, że tu jest i słucha. Może zaraz się dowie, że Grynochówna właśnie wtedy, w 1945 roku po wizycie w fabryce, pobiegła do kuzynki. Prawdopodobnie liczyła na to, że wyciągnie od niej choćby jakiś okruszek skarbu. Ale Salamonowiczówna nie przyznała się do odnalezienia złota.

W niektórych domach robotniczych krąży podawana sobie z ust do ust plotka, jakoby dotąd w starych murach jakiejś fabryczki pończoszniczej ukryty był skarb.

W głębi Casa Rosada (Pałac Prezydencki)

KORONA W BUENOS AIRES

(KORESPONDENCJA Z ARGENTYNY)

Dalszy ciąg ze str. 1

bimy dwugodzinną rundę wokół Buenos Aires. Muszę przecież zobaczyć dwa ogromne stadiony, na których za rok odbędą się mistrzostwa świata. Muszę także zobaczyć stadion Boca Junior, na którym Polska przegrała niedawno z Argentyną. To było straszne — twierdzą państwo Stachurowie. Cała Polonia okryła się żałobą. Niektórzy wstydzili się dosłownie wyjść na ulicę. A po meczu, wie pan, gościliśmy piłkarzy w Domu Polskim, i wtedy wstyd zniknął, i było nam ich strasznie żal, a już szczególnie Tomaszewskiego, który jest tutaj najbardziej znany i uwielbiany. Był taki ponury, smutny, zawstydzony, jakby się chciał zapaść pod ziemię...

Pan Jan Stachura mieszka we własnej, niedużej, lecz bardzo ładnej kamienicy, przy ulicy Humbold. W czasie ostatniej wojny był lotnikiem, walczył między innymi o Londyn. Do Argentyny ściągnął w latach czterdziestych. Podobnie jak większość pułkowników, majorów, a nawet arystokratów, zaczynał od zera.

— To już taki kraj — mówi. — Przyjeżdżasz inżynierem czy doktorem i bierzesz się za wypalanie cegieł, drobny handelek albo komiwojażerkę.

Masę jest takich życiorysów. O pozycji społecznej nie decyduje wykształcenie, dyplom i bohaterska przeszłość, a stan posiadania. Żeby rozpocząć praktykę lekarską trzeba najpierw mieć swój gabinet, żeby błysnąć zdolnościami organizacyjnymi, trzeba dochrapać się własnego przedsiębiorstwa. Wszystko to wymaga czasu, samozaparcia i żelaznego zdrowia, no i dokładnej znajomości języka.

Jan Stachura jest jednym z tych, którym się powiodło. Ma własną firmę: CASAS — DEPARTAMENTOS — NEGOCIOS — TERRENOS. Pośredniczy w sprzedaży domów i mieszkań. Dobry interes. Jedna — dwie transakcje w ciągu roku i można żyć. Tę kamienicę, w której obecnie mieszka z żoną i kilkunastoletnim synem, też w końcu sprzeda za podwójną cenę, ale dopiero wówczas, kiedy uda mu się kupić okazyjnie inny dom. Oczywiście w śródmieściu. Tylko śródmieście! Buenos Aires nie jest wyjątkiem: i tu ceny nieruchomości idą z każdą chwilą w górę.

Co do rodaków? — wiedzie im się różnie. Większość żyje w niepokoju. Brak stabilizacji. Nieliczni tylko mają swoje sklepiki, warsztaty, fabryczki, w których, żeby związać koniec z końcem, pracuje się po szesnaście godzin na dobę. Poznałem takiego „fabrykanta", zatrudniającego dwóch synów, żonę i czterech robotników argentyńskich. Wyglądał jak śmierć angielska — opuchnięty, blady, niewyspany. „Tak z ręką na sercu, to mam nieraz chęć rzucić to wszystko w diabły — powiedział. — Małe fabryki produkują dla małych sklepów, a tych jest coraz mniej. Wiadomo — niszczą je wielobranżowe magazyny, a tam nie wepcham się z moimi chustkami, choćby były najpiękniejsze".

— Gdyby przyjechał do mnie z Polski brat — zwierzała mi się Bożena O. z Moreno — wyjechalibyśmy całą rodziną do Mendozy albo Cordoby. Tam można otworzyć hotel, ale potrzebny jest silny i zaradny mężczyzna, taki, co wyrobi sobie chody we władzach i skaperuje dostawców.

Wielu żyje z rent i oszczędności, niektórzy są na zapomogach, niektórzy znowu — zbyt dumni, aby przyjąć jałmużnę — wyprzedają powoli biżuterię. Bytują poniżej średniej; nurzają się w nienawiści, i to zarówno do komunistów z Polski jak i kapitalistów z Argentyny, do każdego któremu wiedzie się trochę lepiej. Nie utrzymują żadnych stosunków z ambasadą polską, nie rozmawiają z nikim, kto przyjechał ze starego kraju. Kiedy tuż przed wyjazdem ponownie odwiedziłem Dom Polski i próbowałem podyskutować trochę z grupą podekscytowanych staruszków, licytujących się w rzucaniu obelg na pewną znaną osobistość polityczną (bynajmniej nie najważniejszą), z miejsca otrzymałem cios w splot słoneczny:

— Panie, nam tu nie potrzeba sowieckich szpionów!

Wyniosłem się zdruzgotany. Ale potem wróciłem od drzwi i powiedziałem najspokojniej jak potrafię:

— Jakby któryś z panów przyjechał do Łodzi, to serdecznie zapraszam.

Stachurowie byli w Polsce. Pani Irena nie bała się udzielać wywiadów polskim dziennikarzom; pokazuje mi kilka z nich. Mówi o swoim wzruszeniu na widok porzuconych w młodości kątów i zaskoczeniu, że tak bardzo wszystko się zmieniło w pejzażu miejskim i wiejskim. Kto wie, może za parę lat znowu wybierze się na wycieczkę...

Urodzony w Argentynie syn państwa Stachurów znakomicie włada polszczyzną. Czy chciałby pojechać do Polski?.. Tak... chyba tak!... Ale bardziej pociąga go Północna Afryka. — Egipt, Libia, Algieria. Wiadomo — pragnienie przygody. Jeszcze nigdy nie wyjeżdżał za granicę. Był w Urugwaju, ale to żadna zagranica...

— Zna pan Edwarda Stachurę? — pyta pan Jan.

— Tego literata?

— Uhmm.

— Czytałem kilka jego książek i widziałem go kiedyś z plecakiem na Dworcu Łódź-Fabryczna.

— Dobry jest?

— Dobry.

— Nie wykluczone, że to nasz daleki krewniak... Niech pan zobaczy: przysłał nam niedawno swoją powieść.

Czytam dedykację. Tramp polskiej literatury przesyła pozdrowienia i zapowiada, że — być może — odwiedzi kiedyś Buenos Aires.

— Będzie miłym gościem — mówi pani Irena. — Proszę mu to przekazać.

* * *

Pierwsi Polacy pojawili się w Argentynie już w początkach dziewiętnastego wieku i walczyli z hiszpańskim kolonizatorem o wolność tego kraju. Po listopadowej i styczniowej klęsce ściągnęło nas tutaj jeszcze więcej — przeważnie prześladowana przez zabory inteligencja i wojskowi. Żywa jest w Buenos Aires pamięć o generale Teofilu Iwanowskim, który w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia bohatersko walczył w argentyńskiej armii przeciwko Paragwajowi. Żywa jest pamięć o Jordanie Czesławie Wysockim, który brał udział w Powstaniu Styczniowym, a potem wyemigrował do Argentyny i założył w Buenos Aires wspaniały i do dzisiaj największy park „Palermo", gdzie zresztą władze miejskie ufundowały mu dziękczynną tablicę.

Na przełomie wieków zaczęła się emigracja chłopska. Ci odegrali rolę w kolonizowaniu dziewiczych terenów, osiedlając się przede wszystkim w prowincji Misiones. W okresie międzywojennym przyjechało do Argentyny około dwustu tysięcy Polaków — przede wszystkim rolników i robotników, dla których w kraju nie było pracy. Rolnicy szukali tu ziemi i z uporem ciągnęli do Misiones, robotnicy i rzemieślnicy próbowali zahaczyć się o miasta.

Po drugiej wojnie światowej przybyło do Argentyny dalszych dziesięć tysięcy Polaków i oni to wywarli największy wpływ na orientację polityczną całej, stutrzydziestotysięcznej Polonii. Oni — bardziej wykształceni, wywodzący się ze znanych rodów, posiadający liczne koneksje w Zachodniej Europie, narzucili starej emigracji styl myślenia wrogi naszej Polsce. Opanowali liczne instytucje społeczne i kulturalne, doprowadzili do zerwania kontaktów z ambasadą, przeistoczyli GŁOS POLSKI, który powstał w 1922 roku i do końca wojny był uczciwym przyjacielem kraju, w propagandową tubę, kreującą fałszywy obraz Polski na podstawie nasłuchów z Wolnej Europy oraz przedruków z reakcyjnej prasy angielskiej i francuskiej. Nieraz zresztą znajdzie się tu również zdanie wyrwane z kontekstu współczesnej polskiej książki czy jakiejś gazety, gdzie zresztą treść kłóci się wyraźnie z brutalizmem tytułów.

Przykład 1:

„KPINY Z PRAWA

(...) prasa krajowa przynosi informacje w rodzaju niżej przytoczonej, dosłownie zaczerpniętej z jednego z partyjnych tygodników.

„Przykładem sobiepaństwa kierowników i przedsiębiorstw — czytamy — jest J. Bożyk, dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Drzewnego, który od 20 kwietnia br. nie wykonuje wyroku Okręgowego Sądu Pracy, zalecającego przyjęcie zwolnionej kobiety do pracy i nakładającego obowiązek wypłacenia wynagrodzenia za czas zwolnienia".

Sprawa tej pracownicy rozpatrywana była przez CRZZ i Sąd Najwyższy".

Przykład 2:

„KULT PRZESZŁOŚCI

W Polsce kult przeszłości rośnie. Powstają stale nowe muzea, poświęcone wybitnym artystom, pisarzom, działaczom społecznym, muzykom. Niedawno otwarto muzeum w pomieszczeniach małego domku w Górkach Wielkich, koło Skoczowa gdzie mieszkała w latach powojennych autorka „Pożogi", Zofia Kossak-Szczucka. W Barczewie koło Olsztyna otwarto muzeum poświęcone muzykowi i kompozytorowi polskiemu, Feliksowi Nowowiejskiemu, twórcy popularnego w Polsce dzieła „Legenda Bałtyku". W związku z setną rocznicą urodzin urządzono w muzeum specjalną wystawę jego manuskryptów".

Przykład 3:

„JAK NISZCZY SIĘ W POLSCE ZABYTKOWE DWORY

Charakterystyczny proces o niszczenie zabytków zakończył się przed Sądem Rejonowym w Jędrzejowie (kieleckie). Były dyrektor PGR w Zagajach oskarżony został o to, że podczas jego rządów dworek w Zagajach — zabytkowy obiekt XVIII-wieczny — został doprowadzony do kompletnej ruiny (...)".

Na dobrą sprawę każda z tych informacji jest dla nas pochlebna. Oczywiście — gdyby nie mylące tytuły. Bo chyba nie jest źle, że sądzi się i opisuje sobiepańskich dyrektorów, że wznosi się muzea poświęcone wybitnym twórcom. Czyżby Feliks Nowowiejski i Zofia Kossak-Szczucka narazili się czymś za życia redaktorom GŁOSU POLSKIEGO?...

Niby stroszy się argentyńska Polonia. Ale jeśli wejść z nią w bliższe, dyskretne kontakty, okaże się, że i ona traktuje swój organ prasowy z przymrużeniem oka. Polak, którego spotkałem w świętym miasteczku Lujan (odpowiednik francuskiego Lourdes) oświadczył bez wahania:

— Panie, to jest normalny brukowiec. Jak kocham Polskę! I wie pan co?... Od razu bym wracał do Poznania, ale gdzie ja jeszcze poza Argentyną dostanę taki soczysty befsztyk?

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Ochronka dla dzieci indiańskich

Centrum

Zdjęcia: Elżbieta Makowiecka

SZOŁOCHOW W LITERATURZE ŚWIATOWEJ

MOSKWA (hg) Wielki prozaik radziecki, kontynuator najwspanialszych tradycji rosyjskiej epiki Michał Szołochow należy do pisarzy ZSRR najczęściej tłumaczonych za granicą. Jego dzieła zostały udostępnione we wszystkich niemal krajach europejskich, amerykańskich, afrykańskich i azjatyckich. Szczególną popularność zyskał „Cichy Don" uznany przez wielu krytyków i pisarzy za jedno z największych osiągnięć literatury XX w.

Po opublikowaniu tej epopei w Związku Radzieckim nawet pisma wrogo nastawione wobec pierwszego państwa socjalistycznego, jak „Berliner Tageblatt" (1931), londyński „Times" (1934), „New York Times" (1934) i wiele innych musiały przyznać, że oto narodziło się arcydzieło literackie epoki. Książka zyskała ogromny rozgłos wśród czytelników na całym świecie.

Przyczyn tego sukcesu należy szukać nie tylko w porywającej fabule, mistrzowskim przedstawianiu postaci i konfliktów tamtych czasów, lecz także w nowatorstwie formy. W „Cichym Donie" młody wówczas pisarz radziecki stworzył własny niepowtarzalny styl, własny język poetycki, przy pomocy którego przekazał swój obraz narodzin nowego człowieka poszukującego prawdy w wirze walk i wrzenia; w dobie powstawania zrębów nowej epoki dał wielkie dzieło narodowe, które może stanie obok najwybitniejszych osiągnięć literatury światowej.

W książce tej Szołochow ukazał z siłą i artyzmem prawdę o początkach rewolucji socjalistycznej, o tworzeniu się nowego porządku, zwycięstwie dyktatury proletariatu.

Angielski krytyk Edmund Siever pisał w 1941 r.: „W dobie, kiedy wielcy pisarze (miał on na myśli Jamesa Joyce'a Virginię Woolf, Gertrudę Stein i in.) przedstawiali istoty ludzkie niczym cienie w jakimś rytualnym tańcu, Szołochow przywrócił literaturze pięknej jej właściwy sens i godność. Wielkie tradycje rosyjskiego realizmu jeszcze raz dały o sobie znać całemu światu".

Wielu krytyków na zachodzie zwracało uwagę na jeszcze jedną charakterystyczną cechę twórczości wielkiego pisarza radzieckiego — na obraz wsi i chłopów w jego powieściach, tak różny od tego co przedstawiali Balzak, Reymont, Hamsun, Bunin czy Tołstoj. Nie wdając się w szczegółową analizę stosunku wspomnianych autorów do problemów wsi, można najogólniej stwierdzić, że przedstawiali oni chłopów jako ludzi politycznie biernych, najczęściej zacofanych i uległych. Tymczasem Szołochow widzi w masach chłopskich klasę czynnie walczącą o wyzwolenie spod ucisku cara, obszarników i kułaków, przedstawia ich jako sojuszników klasy robotniczej w latach wojny domowej, NEP'u i kolektywizacji.

Już w latach trzydziestych postępowa krytyka zagraniczna oceniła „Cichy Don" i „Zorany ugor" jako wielkie osiągnięcie literatury radzieckiej, która stanęła na Parnasie sztuki światowej. O Szołochowie pisano jako o znakomitym prozaiku nowatorze a jego twórczość wiązano z rozwojem nowej socjalistycznej kultury.

Obydwie powieści wywarły decydujący wpływ na proces tworzenia się i umacniania metody realizmu socjalistycznego w literaturze radzieckiej, a także na powstawanie literatury socjalistycznej w innych krajach. Pisarstwo Szołochowa przyjmowane było przez postępowych pisarzy świata jako model realizmu socjalistycznego, „poetyckie i filozoficzne objawienie XX w.". Jeszcze przed wojną J. Wołoszynowski zachwycał się „odkrywczą twórczością Szołochowa, która wprawia w podziw wszystkich współczesnych artystów słowa". Znany japoński rewolucjonista i pisarz Kobajaszi Takidżi w artykule „Czego uczy „Cichy Don", nawoływał współziomków do „naśladowania realizmu Szołochowa, by jak najszybciej wspólnymi siłami wyprowadzić literaturę japońską z obecnego zacofania" (1931). I już w naszych czasach angielski prozaik i poeta Jack Lindsay pisał: „W „Cichym Donie" Szołochow osiągnął szczyty mistrzostwa, stworzył dzieło z którego my wszyscy możemy czerpać natchnienie i naukę". Dzięki takim jego utworom jak „Cichy Don", „Zorany ugór" czy „Los człowieka" szereg pisarzy, krytyków i historyków literatury na zachodzie musiało zrewidować swój stosunek do metody realizmu socjalistycznego i do całej literatutry radzieckiej, uznając ich wartość i żywotność.

Przyznanie Szołochowowi Nagrody Nobla w dziedzinie literatury w 1965 r. było jedynie potwierdzeniem światowego znaczenia jego dzieł. Było to także, jak pisała wówczas „l'Humanite", zwycięstwo radzieckiej literatury, zwycięstwo ducha pokojowego współistnienia i sprawiedliwości wobec jednego z największych pisarzy naszych czasów.

W PIEKLE KOLUMBIJSKICH ANDÓW

Cztery piąte wszystkich nieoszlifowanych szmaragdów pojawiających się na rynkach Zachodu wydobywa się w Kolumbii. Rząd wydał zakaz „dzikiego" wydobywania szmaragdów, a mimo to na szlakach poszukiwaczy tych szlachetnych kamieni odbywają się dantejskie sceny. Poszukiwania „zielonego skarbu" pociągają za sobą codziennie śmierć dziesiątków poszukiwaczy, żądnych szybkiego wzbogacenia się. Jednocześnie, z wydobycia i handlu szmaragdami ciągną ogromne dochody jubilerzy, wielcy spekulanci, biznesmeni i bankierzy w krajach kapitalistycznych.

Mniej więcej 150 km od stolicy Kolumbii, Bogoty, w rejonie rządowych kopalń szmaragdów, zabójstwo jest zjawiskiem powszechnym. Dobry szmaragd kosztuje drożej niż brylant, ale i wydobycie i zbyt diamentów mocno trzyma w swych rękach syndykat popierany przez państwo, o tyle poszukiwania szmaragdów we wschodnich pasmach surowych kolumbijskich Andów są dosłownie domeną najdzikszej anarchii. Zapuszczone, ponure miasteczka, wyrosłe w pobliżu kopalń szmaragdów, przypominają dekoracje do kolumbijskiego westernu, ale za to saloony z ich przesiąkniętymi wódką ruackeros, (myśliwymi polującymi na szmaragdy) zamiast kowbojów, są równie prawdziwe, jak i strzelanina po nocach.

Lekceważąc niebezpieczeństwo, 30 tys. ludzi opanowanych żądzą wzbogacenia się uległo chorobie szmaragdowej gorączki. W 1973 roku — jak podaje londyński „Sunday Times" po wyjątkowo gwałtownej i krwawej rozprawie między konkurującymi gangami ruackeros, która kosztowała 900 ludzkich istnień, kopalnie szmaragdów zamknięto, a do pohamowania namiętności wysłano wojsko i policję. Mimo to nie udało się powstrzymać tego obfitego upustu krwi, każdego dnia nadal notuje się, mniej więcej jedno zabójstwo. Obecność policji nie wpłynęła także na zmniejszenie się ilości nocnych rajdów ruackeros (słowo to w miejscowej gwarze oznacza nie tylko myśliwego polującego na skarby lecz również „hienę cmentarną"), którzy nadal drążą skały i przekopują ziemię przy świetle księżyca w poszukiwaniu upragnionych złóż kruszców. Szmaragdy zalegają w skalnym gruncie w górach, lub po prostu pod cienką warstwą ziemi i można je znaleźć, kiedy spłukują ją deszcze. Doświadczeni poszukiwacze umieją określić miejsce złóż szmaragdów po kolorze gruntu.

Ponieważ wydobywania szmaragdów na własny rachunek zabrania prawo, rauckeros w dzień śpią. W nocy, kiedy niebezpieczeństwo natknięcia się na policję jest o wiele mniejsze, przenikają jak cienie do kopalń i szybów z latarkami elektrycznymi. Kilka godzin, a nieraz całą noc, posługując się najbardziej prymitywnymi narzędziami, kopią w miejscach w których mają nadzieję znaleźć szmaragdy. Sztolnie są nieraz głębokie na kilkaset metrów i nie mają szalunku, człowiek może się w nich zaledwie obrócić i to z trudem. Jeśli na zewnątrz temperatura wynosi 30—32 stopnie, to wewnątrz sztolni sięga przeciętnie powyżej 43 stopni. Nawet ludzie, przyzwyczajeni do ciężkiej pracy, muszą robić przerwy dwa, trzy razy w ciągu godziny. W sztolniach brakuje powietrza. Niekiedy kopacze uruchamiają prymitywną wentylację, wprowadzając powietrze przy pomocy gumowych węży, ale najczęściej giną z uduszenia. Każdego tygodnia w jednej lub w dwóch sztolniach następuje zawalenie ścian. Nikt nie wie, ilu mężczyzn, ile kobiet i dzieci zginęło w ten sposób, bowiem władze dowiadują się o obsunięciach ziemi czy skał tylko wtedy, gdy katastrofa jest duża. O śmierci 50 ludzi w kopalni podaje się informacje, ale śmierć 3 osób mija nie zauważona. Kolumbijskie szmaragdy wydobywa się za cenę morza krwi od czasu, kiedy hiszpańscy konkwistadorzy wydarli tajemnicę kopalń kolumbijskim Indianom, których złoto i klejnoty zrodziły legendę o Eldorado. Obecnie, jak oceniają kupcy, w Kolumbii wydobywa się szmaragdy na sumę około 300 milionów dolarów rocznie, przy czym cztery piąte szmugluje się do innych krajów. „Econominas" — państwowe towarzystwo kopalń szmaragdów, poniosło tak ogromne straty próbując wziąć kopalnie pod kontrolę rządu, że w 1974 roku po prostu zbankrutowało, straciwszy 33 miliony dolarów, żeby wydobyć szmaragdy o wartości półtora miliona dolarów. Po tym wydarzeniu „Econominas" postanowiło się przestawić na bardziej „spokojne" minerały w rodzaju fosfatów.

Od tego czasu największe dochody z kopalni szmaragdów ciągną policja i wojsko, mimo okresowej wymiany całych batalionów pogrążonych po uszy w korupcji. W Muzo, dużym mieście wyrosłym na szmaragdach, każdy — od telegrafisty do kelnerki w miejscowym hotelu — trudni się w nocy potajemnym handlem szmaragdami, a ponieważ zajęcie to jest karane, pole do łapówek i korupcji na wielką skalę jest nieograniczone. „Econominas" trzykrotnie próbowało sprzedać kopalnie prywatnym kompaniom, ale brakło chętnych, bowiem każdy właściciel musiałby mieć całą prywatną armię, żeby zabezpieczyć swoje inwestycje. Niegdyś, opowiadają weterani tego przemysłu, przy zawieraniu umowy człowiekowi można było wierzyć na słowo. Teraz jedyne co ma jakąś wagę na ulicach Muzo — to gotówka i pistolet. I o żadnym zwrocie pieniędzy nie ma nawet mowy, jeśli kupujący jest niezadowolony z transakcji. W Bogocie profanom sprzedaje się fabrykowane, sztuczne, nie oszlifowane „szmaragdy", a prawdziwym kamieniom czystej wody przydaje się nieco ciemniejszego odcienia, dzięki czemu nabierają większej ceny.

Przeciętni ruackeros mieszkają w ziemiankach bez wody i światła z żonami i 8—10 półgłodnymi dziećmi, dzieląc swoje dwie izdebki ze świniami i kurami. Chociaż ogromna większość ruackeros umiera w takiej samej nędzy, w jakiej się urodziła, zdarzają się wśród nich szczęśliwcy, którzy odnaleźli szmaragdowy skarb i kupili sobie dom i jeepa w Bogocie, wraz ze wszystkimi atrybutami konsumpcyjnego społeczeństwa...

Ani jeden kupiec nie przyjeżdża do Muzo bez pistoletu i osobistej obstawy, niemniej uważają to diabelskie miejsce za oazę sielskiego spokoju w porównaniu z Penasblancas, drugą spośród trzech państwowych kopalń, dokąd można dotrzeć tylko piechotą lub na grzbiecie muła. Osada jest zbiorowiskiem rzezimieszków wszelkiego autoramentu z płatnymi mordercami włącznie, dla których zastrzelić człowieka to mniej więcej to samo, co zapalić papierosa. Kupcy unikają Penasblancas, choć uważają, że tracą na tym miliony dolarów. Niemniej szmaragdy z Penasblancas w jakiś sposób trafiają do Muzo, gdzie jeden z członków „szmaragdowych rodzin" płaci za nie gotówką, zapoczątkowując tym samym kamieniom długą drogę kończącą się w sejfach banków i sklepach jubilerskich Stanów Zjednoczonych, Japonii, Szwajcarii i Hongkongu, skupujących 94 procent kolumbijskich szmaragdów. Droga od Muzo do Bogoty i jej przedmieścia Santa Isabel, gdzie mieszkają „szmaragdowe rodziny", lub otwarcie mówiąc gangi handlujące szmaragdami, jest obficie zroszona krwią i na całej swojej długości usiana „osobliwościami" w rodzaju miejsc, w których wycięto w pień, podczas walk konkurencyjnych, całe rodziny włącznie z dziećmi. Ale też na drodze od Muzo do Bogoty, którą przebywa się samochodem w sześć godzin, cena kamienia wzrasta 20-krotnie. W Bogocie trafia on albo do rąk hurtowników, albo do rąk esmeralderos (handlarz szmaragdami), którzy odsprzedają je drobnym kupcom.

Takie słowa, jak „kontrabanda" czy „kradzież" nie mają żadnego sensu tam gdzie brak kontroli państwowej. Na kolumbijskich lotniskach nie ma kontroli celnej podobnie jak nie ma także żadnych barier na drodze kamieni do wielkich, międzynarodowych rynków zbytu. Można zatem wyjechać z Kolumbii, mając w walizce szmaragdy wartości 100 tysięcy dolarów, nie narażając się na kłopotliwe pytania. W tym procederze liczą się tylko pieniądze i pistolet.

JERZY CZECH

„WOLNOŚĆ PRASY" PO AMERYKAŃSKU

Kraje rozwijające się toczą uparta walkę z nieustającym naciskiem zachodnich monopoli w sferze środków masowej informacji. Problem ten już od szeregu lat omawia się w UNESCO. W 1973 roku odbyło się w Finlandii, pod egidą UNESCO, sympozjum na którym omawiano kwestie międzynarodowej wymiany programów telewizyjnych. Uczestnicy tego sympozjum doszli do wniosku, że zachodni monopol w dziedzinie telewizji przypomina ulicę z jednostronnym ruchem. W 1975 roku w stolicy Ekwadoru, Quito, także pod egidą UNESCO pracowała grupa ekspertów, której zadaniem było zbadanie sytuacji w dziedzinie rozpowszechniania informacji w Ameryce Łacińskiej. Stwierdzono wówczas, iż 80 procent wszystkich zagranicznych informacji opublikowanych w prasie krajów Ameryki Łacińskiej, wpłynęło z zachodnich agencji, a przede wszystkim z United Press International i Associated Press. Pragnąc skończyć z taką zależnością, eksperci zaproponowali rządom krajów latynoamerykańskich, jako wniosek, bardziej energiczną ingerencję w te sprawy.

Burżuazyjne organy masowej informacji poddały ostrej krytyce ten wniosek ekspertów, oskarżając UNESCO, że jakoby podrywa ono podstawy wolności prasy. Pod naciskiem tej krytyki Ekwador odmówił zgody, mimo iż wyraził ją wcześniej, na przeprowadzenie w Ekwadorze, w tym roku, konferencji na temat polityki w dziedzinie rozpowszechniania informacji. UNESCO musiała przenieść konferencję do Kostaryki — San Jose. Burżuazyjne organa masowej informacji ruszyły z atakami z kolei na Kostarykę. Fakt ten lepiej niż słowa świadczy o bezpodstawności twierdzeń jakoby w świecie burżuazyjnym istniała swoboda wyrażania poglądów. Swoboda ta jest przywilejem wielonarodowych korporacji działających w sferze masowej informacji.

Na konferencji w San Jose, która skoncentrowała uwagę na problematyce rozpowszechniania informacji w krajach Ameryki Łacińskiej i basenu Morza Karaibskiego, generalny dyrektor UNESCO, Amadu Matar M'Bow powiedział, że dziś ludzie coraz częściej zadają sobie pytanie: co w rzeczywistości oznacza pojęcie „swobody wyrażania poglądów", w tych krajach, w których monopole bez przeszkód kontrolują środki masowej informacji. W swoich wnioskach konferencja w San Jose wysunęła jako pierwszoplanowe zadanie stworzenie latynoamerykańskiej i karaibskiej agencji informacyjnej lub konsorcjum agencji informacyjnych tego regionu. Istnieją podstawy żeby przypuszczać, iż proces dekolonizacji w sferze masowego przekazu nabierze tempa. Uczestnicy wszystkich tych konferencji uważają, iż powinien on objąć również i inne dziedziny ideologicznego oddziaływania na szerokie masy włącznie z radiem, tv, filmami dokumentalnymi i płytami gramofonowymi.

(C)

ZSRR PROPONUJE: ENERGIA ATOMU TYLKO DLA POKOJU

60-lecie Wielkiego Października stało się wydarzeniem międzynarodowym wysokiej rangi. Oczy całego świata skierowane były na Moskwę, gdzie trwały rocznicowe obchody z udziałem 123 delegacji zagranicznych.

Przemówienie Leonida Breżniewa na wspólnym uroczystym posiedzeniu Komitetu Centralnego KPZR, Rady Najwyższej ZSRR i Rady Najwyższej RFSRR zawierało bogatą część, poświęconą polityce zagranicznej ZSRR. **Przyniosło też nowe radzieckie propozycje rozbrojeniowe,** które natychmiast znalazły się w centrum zainteresowania kół politycznych. O nich przede wszystkim pisze się na łamach prasy światowej.

Wychodząc z przeświadczenia, że największym niebezpieczeństwem dla ludzkości są zbrojenia nuklearne — **ZSRR wystąpił z inicjatywą jednoczesnego zaprzestania przez wszystkie państwa produkcji broni jądrowej — bomb czy pocisków atomowych, wodorowych i neutronowych.** Propozycji tej towarzyszy sugestia, aby wszystkie państwa nuklearne zobowiązały się do stopniowej redukcji nagromadzonych już zapasów aż do całkowitej ich likwidacji.

„Energia atomu tylko dla celów pokojowych — z takim apelem zwraca się państwo radzieckie, powiedział Leonid Breżniew, **do rządów i narodów w 60 rocznicę swego istnienia".**

Sekretarz generalny KC KPZR podkreślił ponadto, że ZSRR gotów jest osiągnąć porozumienie, aby równocześnie z zakazem na określony czas wszelkich prób z bronią jądrową ogłosić moratorium na wybuchy jądrowe dla celów pokojowych.

„Mamy nadzieję — stwierdził — **że ten ważny krok ZSRR zostanie należycie oceniony przez naszych partnerów w rokowaniach i tym samym zostanie utorowana droga do zawarcia układu, na który od dawna już oczekują narody".**

Uczestnicy uroczystego posiedzenia, poświęconego 60-leciu Rewolucji Październikowej uchwalili **orędzie „Do narodów, parlamentów i rządów wszystkich krajów świata".** Również w tym doniosłym dokumencie wiele uwagi poświęca się problemowi rozbrojenia. Na drodze do jego urzeczywistnienia wznoszone są wciąż przeszkody, nadal forsuje się wyścig zbrojeń, który „staje się skrajnie niebezpieczny". Pochłania on nie tylko wielkie środki, ale stwarza też realne niebezpieczeństwo dla ludzkości.

„Zwracamy się do narodów, parlamentów i rządów wszystkich krajów — czytamy w orędziu — **z apelem, by uczyniły wszystko, aby zahamować wyścig zbrojeń, zakazać tworzenia nowych środków masowej zagłady, przystąpić do redukcji zbrojeń i sił zbrojnych, do rozbrojenia".**

W złożonych przez Związek Radziecki nowych propozycjach łatwo doszukać się uroczystego potwierdzenia pokojowego, odprężeniowego i rozbrojeniowego kursu polityki radzieckiej, która swój rodowód wyprowadza wprost ze słynnego „Dekretu o pokoju".

„W dobie atomowego zagrożenia — mówił z kremlowskiej trybuny Edward Gierek — **leninowskie idee — pokoju, przyjaźni i współpracy między narodami są bardziej niż kiedykolwiek aktualne. Będziemy nadal wszystkimi siłami prowadzić walkę o zwycięstwo tych idei w interesie całej ludzkości".**

* * *

W Genewie, o czym pisaliśmy swego czasu, toczą się trójstronne rokowania: ZSRR — USA — W. Brytania na temat porozumienia o całkowitym i powszechnym zakazie doświadczeń z bronią jądrową. Na kolejnym posiedzeniu, w miniony piątek, radzieckie propozycje stały się głównym tematem rozmów. W genewskich kołach politycznych podkreśla się, że kolejna inicjatywa Leonida Breżniewa stwarza nową jakościowo sytuację w międzynarodowych rokowaniach.

Z zadowoleniem powitał propozycje sekretarz generalny ONZ — Kurt Waldheim, stwierdzając, że wychodzą one naprzeciw trosce Organizacji o zawarcie układu o całkowitym zakazie wszelkich doświadczeń z bronią jądrową. Kanclerz Austrii — Bruno Kreisky uznał propozycje za nowy wkład Związku Radzieckiego w umocnienie pokoju na świecie...

Takie są pierwsze echa przemówienia Leonida Breżniewa na uroczystym posiedzeniu. Wynika z nich, że **nowa radziecka inicjatywa uznana została za ważny krok w kierunku likwidacji dotychczas wciąż utrzymującego się zagrożenia atomowego.**

W. SŁAWSKI

JERZY BOŃCZAK

MEDYCYNA SPOD ZNAKU SWASTYKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Służba zdrowia III Rzeszy, w końcowym etapie wojny, dzieliła się na dwa zasadnicze piony — cywilny, podległy sekretarzowi stanu d/s zdrowia w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, dr L. Contiemu, człowiekowi chciwemu zaszczytów oraz wojskowy — podległy szefowi służby zdrowia, gen. płk prof. dr D. Handloserowi. Instancję nadrzędną stanowił komisarz Rzeszy, prof. dr K. Brandt. Naczelnym lekarzem SS i policji był grupenführer, dr E. Grawitz, zajmujący równocześnie stanowisko prezesa niemieckiego Czerwonego Krzyża, agresywny i brutalny karierowicz. Służbą zdrowia wojsk frontowych Waffen SS kierował grupenführer, K. Henzken, sprawca wielu przestępstw, a sanitariatem Luftwaffe — gen. płk prof. dr O. Schroder.

Można powiedzieć że to właśnie oni i im podobni stanowili w owych koszmarnych latach elitę „stowarzyszenia morderców", sankcjonującą i inspirującą perfidne, nie spotykane w historii świata, masowe zabijanie ludzi. Z praktykujących w b. III Rzeszy 90 tysięcy lekarzy, 350 dopuściło się przestępstw, nadużywając w tym celu zawodu. W obozach koncentracyjnych pracowało około 200 lekarzy SS; jeden lekarz SS przypadał na 300 lekarzy niemieckich. Ci ostatni nie uczynili nic, aby nie dopuścić do tak patologicznego zhańbienia przysięgi Hipokratesa. Wśród owych 350 lekarzy bezpośrednio zaangażowanych w tej zbrodniczej działalności, znajdowało się wielu pracowników nauki. Byli to barbarzyńcy, mordercy, sadyści i prymitywni fanatycy. Warto przypomnieć, iż wielu lekarzy było członkami partii nazistowskiej. Oprócz wymienionej liczby bezpośrednich przestępców, w hitlerowskiej służbie terroru i ludobójstwa uczestniczyły jeszcze tysiące innych przedstawicieli medycyny.

W sierpniu 1939 roku, na odprawie w Obelsalzbergu, Hitler powiedział, iż siła Niemiec leży w szybkości i brutalności. Idolem Hitlera był Dżingis-Chan, który chociaż spowodował śmierć miliona kobiet i dzieci to jednak w historii zapisał się jako twórca wielkiego państwa. Do tego „ideału" dążył wódz III Rzeszy z całą bezwzględnością. Po okupowaniu Polski wojska niemieckie dopuszczały się licznych gwałtów, mordowania jeńców i zakładników, grabieży, palenia miast i wsi oraz masowych mordów na ludności polskiej. Realizując założenia rasistowskie, planowano politykę zmniejszania do minimum przyrostu naturalnego ludności niegermańskiej. A oto niektóre dyrektywy: „Należy wszelkimi sposobami dążyć do rozszerzania sieci izb poronieniowych, zezwolić na intensywny handel środkami antykoncepcyjnymi ponieważ nie jesteśmy zainteresowani w przyroście ludności innych narodów. Nauczyć akuszerki i felczerki dokonywania poronień, lekarze także powinni posiadać pozwolenie na dokonywanie poronień. Należy również proponować dobrowolną sterylizację, nie dopuszczać do walki o zmniejszenie śmiertelności niemowląt, nie zezwalać na pouczanie matek o pielęgnowaniu osesków i zabiegach profilaktycznych przeciwko chorobom dziecięcym, nie udzielać żadnego poparcia przedszkolom i innym zakładom tego typu. Obok tych posunięć w zakresie służby zdrowia, nie powinno się stwarzać żadnych przeszkód rozwodom".

Rasowo biologiczna ideologia miała mieć decydujące znaczenie w polityce demograficznej M. Bormann w porozumieniu z Hitlerem ustalił, między innymi, następujące zasady: „Na okupowanych terenach wschodnich w żadnym wypadku nie powinny funkcjonować organa służby zdrowia. Nie może być nawet mowy o produkcji szczepionek oraz innych profilaktycznych środków medycznych dla ludności nieniemieckiej. Dziełem Contiego był plan wytępienia inteligencji polskiej przez sterylizację.

Medycyna hitlerowska miała swój udział w najbardziej odrażających praktykach, uprawianych przez instytucję pod nazwą „Lebensborn", co oznacza „źródło życia". Jej zadaniem było wyhodowanie rasy niebieskookich blondynów, którzy staliby się rządzącą elitą narodowych socjalistów. W specjalnych zakładach młode pieknośći, ze względu na swe aryjskie pochodzenie, płodność i nordycki wygląd stawały się „narzeczonymi ojczyzny".

Oblicza się, że w latach 1941—1944 urodziło się około 40 tysięcy dzieci, których jedynym ojcem było państwo, a jedynym bogiem — Hitler. SS-mani wracali do swoich obowiązków już po kilku dniach pobytu w „Lebensborn". Dzieci zabierano matkom zaraz po urodzeniu, nie oglądały już ich nigdy. Znane są zbrodnicze decyzje lekarzy wobec dzieci rodziców zesłanych do obozów koncentracyjnych. Dzieci z domieszką krwi niearyjskiej poddawano sterylizacji. Krew niearyjska, „skażona", była wystarczającym powodem skazania na likwidację. W badaniach cech niearyjskich, prowadzonych w Łodzi, wyróżnił się szczególnie niejaki dr Grohmann. Ogółem w omawianych zakładach przebywało 92 tysiące dzieci deportowanych do Niemiec.

Oficerowie-lekarze SS uczestniczyli w selekcji więźniów, kierując do przymusowej germanizacji więźniów zdrowych, wysokich, „rasowo czystych" Miało to miejsce w Łambinowicach, wśród jeńców ukraińskich. Należy dodać, że z rozkazu władz lekarze hitlerowscy przymykali oko, jeśli „rasowa" ekspertyza nie wypadła zupełnie po myśli Himmlera. Chodziło o to, aby „odzyskać" jak najwięcej „Niemców", skoro tylu własnych żołnierzy ginęło na froncie wschodnim.

Grabież dzieci narodów podbitych była ohydną, ordynarną zbrodnią. Szczególnym przykładem hitlerowskiego barbarzyństwa wobec naszego narodu była deportacja 4,5 tysiąca dzieci polskich, które miały ulec germanizacji. Zamojszczyzna miała być poligonem doświadczalnym praktycznej realizacji zbrodniczej koncepcji „Lebensraumu", swoistym „laboratorium SS".

Mord i bezprawie podniesiono do rangi oficjalnej ideologii SS. Medycyna SS-owska, wcielenie mitu biologicznego medycyny nazistowskiej, odegrała zasadniczą rolę w historii zbrodni SS w toku II wojny światowej. W wyniku porozumienia między Himmlerem i ministrem sprawiedliwości Rzeszy, Thierackiem, niektóre kategorie więźniów uznano za nadające się do „zapracowania na śmierć". Przekazywano ich więc lekarzom SS jako króliki doświadczalne do pseudomedycznych eksperymentów. Warto podkreślić, iż żaden z powojennych procesów o ludobójstwo nie dostarczył tak makabrycznych dowodów zbrodni hitlerowskich, jak proces nazistowskich lekarzy. Eksperymenty dokonywane na więźniach obozów koncentracyjnych traktowane były z całą konsekwencją jako metoda eksterminacji. Rzecz zrozumiała, iż nie byłyby one możliwe bez aktywnego poparcia ówczesnych niemieckich lekarzy. Te zbrodnicze doświadczenia, dokonywane przez hitlerowską służbę sanitarną, dotyczyły między innymi, zakażania więźniów durem wysypkowym, wywoływaniem ropowicy, tężca i zgorzeli gazowej, regeneracji tkanek i przeszczepów kości, sterylizacji kobiet i mężczyzn, zakażania gruźlicą, malaria i wirusowym zapaleniem wątroby, stosowania narkotyków w celu uzyskania od więźnia prawdziwych danych i szereg innych. Zgodnie z zeznaniami czeskiego lekarza, byłego więźnia w Dachau, który osobiście dokonał 7 tys. sekcji zwłok, doświadczenia te zwykle prowadziły do zgonu, trwałego kalectwa, lub zaburzeń umysłowych. Bezmyślne zabiegi chirurgiczne przeprowadzali często studenci z Akademii Medycznej SS w Grazu.

Dziełem lekarzy SS były nie tylko, dokonywane wbrew etyce lekarskiej, doświadczenia na ludziach, kończące się zwykle cierpieniami i śmiercią ofiar, ale również czynny, bestialski udział w masakrach więźniów we wszystkich obozach koncentracyjnych. Uczestniczyli oni z własnej woli w typowaniu transportów ludzkich do eksterminacji, wykazywali zbrodniczą aktywność w tzw. selekcjach, doskonalili nierzadko metody mordu, brali czynny udział w egzekucjach chłosty, rozstrzeliwaniach, wieszaniu i truciu więźniów gazem. Cyklon B, stosowany do masowej zagłady więźniów, dostarczał Instytut Higieny Waffen SS. Środek ten przewożono samochodami oznaczonymi czerwonym krzyżem... Lekarze SS zajmowali się wyszukiwaniem złotych zębów u swoich ofiar. Egzekucje pozorowali masowym badaniem lekarskim. Na szeroką skalę stosowali uśmiercanie więźniów iniekcjami fenolu, bądź też przy użyciu innych środków toksycznych. W tej apokaliptycznej masakrze wykorzystywano najnowsze osiągnięcia nauki, stosowano racjonalną organizację mordu. Dziś trudno sobie nawet wyobrazić rozmiary dokonanej zbrodni.

W Oświęcimiu hitlerowski personel medyczny liczył 115 osób. Podobnie jak i w innych obozach był on odpowiedzialny za liczne przestępstwa i brutalne łamanie elementarnych praw człowieka. To za jego przyczyną, w czasie selekcji, do obozów kierowano 10—15 procent więźniów, pozostałych odsyłano do komór gazowych. Podobne proporcje występowały także w różnych innych obozach. Zbrodnicze doświadczenia na więźniach przeprowadzano ze szczególnym okrucieństwem również w Buchenwaldzie, Ravensbrück, Mauthausen, Sachsenhausen i Neuengamme. Tej straszliwej eksterminacji dokonywali ludzie, których miała obowiązywać dewiza: „salus aegroti suprema lex". Według opisu więźniów byli oni dla lekarzy hitlerowskich tylko „bydłem rzeźnym". Na poparcie tej opinii można by przytoczyć wiele przykładów. Indeks zbrodniczych praktyk rozszerzał się systematycznie, wprowadzano coraz to nowe „pomysły".

Odrębną akcją, autoryzowaną i realizowaną przez hitlerowską służbę sanitarną, był program eutanazji, którym objęto „nieuleczalnie chorych". Tym opracowanym przez Contiego programem był zainteresowany Hitler. Pierwszymi ofiarami „śmierci z łaski" byli obywatele Niemiec i Austrii w liczbie ponad 80 tysięcy. Umysłowo chorzy, epileptycy, osoby kalekie — zostali zakwalifikowani jako „niegodni życia". Zlikwidowano ich w komorach gazowych. W rejonie Nowogrodu Niemcy wytruli wszystkich chorych ze szpitala psychiatrycznego. W ramach bezpośredniego wyniszczania „mniej wartościowych narodów" i uciążliwych grup chorych, planowano eksterminację, między innymi, 35 tysięcy Polaków z regionu Wielkopolski chorych na gruźlicę.

Takie zbrodnie popełniały watahy z „Waffen SS", o których mówiono, iż do pewnego stopnia „różniły się od pozostałych formacji SS tym, że dokonują zbrodni z amatorstwa". Szczególny charakter, jaki przybrały poczynania lekarskie w obozach, był związany z pomysłami Himmlera, pomysłami spontanicznymi, bądź też podsuniętymi mu przez tych, którzy zabiegali o jego względy. Dążył on do tego, aby ukształtowani przez niego lekarze SS stanowili oddziały szturmowe nazistowskiej medycyny.

Zbrodnie — jak wiadomo — popełniały nie tylko przeróżne formacje policyjno-represyjne, lecz także Wehrmacht. Przykładem jest wspomniane już — bestialskie traktowanie jeńców wojennych. Przypomnieć należy rozstrzeliwanie wziętych do niewoli obrońców Modlina w roku 1939. Na porządku dziennym było bicie i mordowanie jeńców polskich i radzieckich w licznych stalagach. Podobne praktyki stosowano w oflagach wobec jeńców polskich, brytyjskich i amerykańskich. We wrześniu 1939 r. Luftwaffe niejednokrotnie atakowała szpitale oznaczone dużymi znakami czerwonego krzyża. Z obronnej wojny wrześniowej znany jest fakt ostrzeliwania przez niemieckie trawlery i samoloty szpitala marynarki wojennej w Babich Dołach. Wśród zabitych był lekarz i sanitariusz. W ostatnich dniach obrony Kępy Oksywskiej hitlerowcy rozrzucali z samolotów rozmaite artykuły, zarażone bakteriami mogącymi spowodować groźne epidemie.

W dzienniku oficera Abwehry z 1939 roku, płk H. Groscurtha, pod datą 13 września czytamy: „Lekarz polowy zerwał w wojskowym lazarecie rannym Polakom bandaże i zastrzelił ich". Być może, iż był to zbrodniczy akt zemsty wynikający choćby z zapisu w albumie hitlerowskiego VII korpusu walczącego w rejonie Zamościa: „Straty wśród oficerów i żołnierzy były ogromne a sytuacja rozpaczliwa". Po wkroczeniu na Węgry Niemcy aresztowali i stracili — wbrew prawu międzynarodowemu — kilkunastu wyższych oficerów polskich, wśród nich lekarza, gen. bryg. dr J. Kołłontaj-Srzednickiego, b. komendanta CESan. Po wsze czasy pamiętać będziemy haniebną zbrodnię w Podgajach, gdzie żołnierze 1 Armii WP znaleźli szczątki swych wziętych do niewoli kolegów, których oprawcy z Wehrmachtu związali drutem kolczastym i spalili żywcem. Służby medyczne III Rzeszy współdziałały ze sobą ściśle. Metody stosowane w SS nie były obce Wehrmachtowi, zwłaszcza, iż służba medyczna Waffen SS podlegała nadzorowi sanitariatu wojskowego.

W Łambinowicach, gdzie znajdowało się zgrupowanie stalagów, jeńcy wojenni żyli w okropnych warunkach. Umierali masowo z wycieńczenia, głodu i panujących epidemii. W obozie grasował dur plamisty, czerwonka i malaria, pochłaniając dziennie wiele ofiar. Jeńcy byli pozbawieni opieki lekarskiej. W obozie karnym każdy jeniec przechodził przez tzw. izbę przyjęć pod pozorem badania lekarskiego. „Badaniem" tym było bestialskie bicie do utraty przytomności. Stosowane tu tortury kończyły się najczęściej śmiercią. Obóz nadzorowali SS-mani i specjalne oddziały Wehrmachtu. W Łambinowicach wymordowano ponad 40 tysięcy jeńców polskich, radzieckich oraz żołnierzy z innych państw koalicji antyhitlerowskiej.

Tragiczny był los jeńców radzieckich. Według danych niemieckich, z ogólnej liczby 6 milionów — przeżyło wojnę 1 milion osób osadzonych w obozach i 1 milion osób izolowanych w miejscach przymusowej pracy. W licznych obozach jenieckich nie było żadnych zabudowań chroniących przed deszczem i mrozem. Ogromna śmiertelność występowała również wśród jeńców pracujących w zakładach przemysłowych. W lipcu 1942 roku feldmarszałek Keitel wydał rozkaz piętnowania jeńców radzieckich rozpalonym żelazem. Piętno miało znak kąta 45 stopni i wypalane było na lewym pośladku. Tę barbarzyńską metodę znakowania ludzi stosowano przez jakiś czas, a zaprzestano w miarę narastania klęsk hitlerowskich armii. Wszystko to działo się na oczach nazistowskiej służby zdrowia. Przypomnijmy, że Wehrmacht zajmował się organizacją masowej deportacji ludności radzieckiej do pracy przymusowej w Niemczech. Feldmarszałek E. Milch był oskarżony o udział w eksperymentach lekarskich prowadzonych dla Luftwaffe, które spowodowały kalectwo i śmierć tysięcy osób spośród jeńców wojennych i więźniów obozów koncentracyjnych. Eksperymentami lekarskimi w Dachau kierował inspektor służby lotniczo-lekarskiej prof. dr Hippke. Lekarze i inny personel medyczny Wehrmachtu dopuszczali się czynów naruszających konwencję genewską. Na przykład lekarz sztabowy Kriegsmarine, W. Weispfenig, z załogi U-859, zabijał z CKM rozbitków ze statku angielskiego. Żołnierz hitlerowski H. Hagendorf, nadużył emblematu Czerwonego Krzyża, kiedy jadąc ambulansem ostrzeliwał żołnierzy amerykańskich. Oficer Wehrmachtu, lekarz M. Schmidt, jako komendant szpitala, organizował mordowanie jeńców, a ponadto znieważył zwłoki żołnierza amerykańskiego, odcinając od zwłok głowę. Po wypreparowaniu jej trzymał czaszkę na swoim biurku a następnie posłał ją żonie jako prezent.

Niemcy atakowali i zatapiali alianckie okręty szpitalne. W pierwszych latach wojny hitlerowskie okręty podwodne, lotnictwo i baterie nabrzeżne zaatakowały 11 brytyjskich okrętów szpitalnych i 3 spośród nich zatopiły. W roku 1941 Niemcy zatopili na Bałtyku radziecki okręt szpitalny „Sibir". Dzięki ofiarnej postawie załogi i personelu większość rannych i chorych uratowano. Wiele osób, w tym chorzy, straciło życie. Obiektem pirackich napadów Niemców było jeszcze wiele innych okrętów szpitalnych. W czasie Powstania Warszawskiego zbombardowali Niemcy szpital św. Łazarza, w którym spłonęło 600 osób. W szpitalu tym zastrzelono 200 osób chorych i personelu. Pozostałych w schronach mordowano granatami. W kwietniu 1945 roku żołdacy z 1 pułku grenadierów pancernych dywizji brandenburskiej zamordowali 44 rannych żołnierzy polskich z 9 Dp. Rannych dobijano w barbarzyński sposób, bijąc ich kolbami, łamiąc im żebra, miażdżąc czaszki, bądź wykłuwając rannym oczy, wycinając języki i narządy płciowe.

W ciągu całej historii medycyny nie przeprowadzono w świecie tylu zbrodniczych eksperymentów na ludziach, ilu dokonali ich w czasie II wojny światowej doktorzy, a częstokroć profesorowie medycyny i nauk pokrewnych, pełniący służbę w SS i Wehrmachcie. Tych przestępczych czynów dokonywano na przedstawicielach wszystkich okupowanych narodów, ale najliczniejszy „materiał eksperymentalny" stanowili Żydzi, Polacy i Rosjanie. W RFN traktuje się zbrodnie hitlerowskie jako zbrodnie pospolite, a także nie uznaje się konwencji ONZ z roku 1968 o nieprzedawnianiu zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. Większość zbrodniczej działalności eksperymentatorów była przedmiotem rozpraw przed sądami aliantów i w procesie tzw. lekarskim przed amerykańskim trybunałem wojskowym w Norymberdze. Tylko niektórzy nazistowscy lekarze eksperymentujący na ludziach odpowiedzieli przed Polskim Trybunałem Narodowym. Największy spośród tych zbrodniarzy, prof. dr C. Clauberg, nie poniósł kary za swoje czyny, zmarł bowiem w czasie śledztwa.

Z wyroku I Amerykańskiego Trybunału Wojskowego w Norymberdze w roku 1947 na karę śmierci przez powieszenie skazano 7 lekarzy SS, w tym 3 profesorów i 3 generałów, na dożywotnie więzienie — 5 lekarzy SS i Wehrmachtu, w tym 3 profesorów i 4 generałów, na karę więzienia od 10 do 20 lat — 4 lekarzy. 7 osób zostało uniewinnionych. W różnych procesach na karę śmierci skazano kilkunastu lekarzy obozów koncentracyjnych. Kilkunastu popełniło samobójstwo.

Na Zachodzie wydaje się liczne książki wybielające zbrodnie III Rzeszy. W oczyszczaniu zbrodni hitlerowskich specjalizuje się wielu naszych wrogów. Amerykański pisarz, L. Uris, bezczelnie sugeruje, że to nie Niemcy a Polacy prześladowali i zabijali Żydów. Inny pisarz, D. Irwing, twierdzi, że Hitler nic nie wiedział o ich mordowaniu, a przecież wystarczy przypomnieć wizytę wodza III Rzeszy na Majdanku, kiedy to wydał rozkaz przyśpieszania akcji eksterminacyjnych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż w okresie II wojny światowej medycyna hitlerowska brała czynny udział w gwałceniu ogólnie przyjętych, przestrzeganych, międzynarodowych norm moralnych i konwencjonalnych. W służbie swastyki liczni przedstawiciele nauk medycznych odegrali haniebną rolę, uczestnicząc w ludobójstwie, jakiego nie zna historia.

Generał brygady doc. dr hab. n. med. Jerzy Bończak.
Rektor Wojskowej Akademii Medycznej im. gen. dyw. prof. dr med. Bolesława Szareckiego w Łodzi.

ŚWIDERSKI

W serii monografii aktorskich Wydawnictw Artystycznych i Filmowych ukazała się kolejna, bardzo interesująca książka Witolda Fillera, poświęcona Janowi Świderskiemu. Autor zaczyna swoją opowieść od osobistych tonów — i one też dominują w całej książce. Nie jest to więc sucha relacja i analiza osobowości twórczej, trudno raczej podatnej suchym analizom, lecz opowieść człowieka, który nie tylko wie, ale i rozumie.

Pisze Witold Filler: „Był moim profesorem w Szkole Aktorskiej, był moim dyrektorem w Teatrze Dramatycznym (...) od roku 1949 żyłem stale obok niego. Nigdy zbyt blisko, ale zawsze przy nim. Z czasem nauczyłem się go rozumieć. Uważam, że go znam. Może jak mało kto. I właśnie dlatego nie umiem napisać dziś, o nim innej książki jak osobistą".

Ależ to bardzo dobrze! Myślę nawet, że właśnie takie osobiste książki, zrodzone z autentycznego prywatnego niemal zaangażowania w temat, mają największy sens i największą wartość.

Dlatego i ja pozwolę sobie w tej nocie na osobisty ton. Otóż cytuje Filler wspomnienie Jana Koprowskiego: „Dziś nie umiałbym powiedzieć dokładnie jaka to była sztuka i o co w niej chodziło. Wiem jedynie, że gdy na scenie pojawił się Świderski, słabowity utwór młodego pisarza nabierał życia, coś się w nim działo".

Wspomnienie Koprowskiego dotyczy roku 1950, ja pamiętam rok 1949, gdy jako dwunastoletni chłopak znalazłem się na widowni Teatru Domu Wojska Polskiego (dziś Teatr im. Jaracza). Grano „Na dnie" Gorkiego. Nie rozumiałem zapewne wówczas zbyt wiele z tej sztuki, nie pamiętam nazwisk aktorów, ba, nawet nie wiedziałem, że gra w tym spektaklu Jan Świderski. Pamiętam tylko scenicznego Barona — tragicznego, strasznego, a jednocześnie pełnego jakiejś ludzkiej godności. Tak właśnie zapamiętałem jedynego z całej sztuki bohatera dramatu Gorkiego. Potem, w szkole, próbowaliśmy „Na dnie" — ja oczywiście chciałem grać Barona. Dziś wiem, że widziałem jedną z większych kreacji wybitnego aktora — a na pewno była to jego pierwsza wybitna kreacja.

Tak więc i dla mnie książka Witolda Fillera nabiera wymiarów osobistego wzruszenia, przypomina jedno z pierwszych głębokich przeżyć artystycznych, jakie było przed laty moim udziałem.

Witold Filler „Jan Świderski", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena zł 26.

OSTATNIE DNI CARATU

„Czytelnik" zaprezentował nam osobliwą relację historyczną. Dokument ten opracował nie uczony mąż stanu czy polityk, lecz poeta rosyjski — jeden z największych liryków naszej epoki, Aleksander Błok.

Jak to się stało, że wśród jego utworów, obok „Wierszy o Pięknej Damie", poematu „Dwunastu", znalazł się esej — rzecz o agonii Imperium Rosyjskiego? „Ostatnie dni caratu" tak bardzo różnią się od wszystkiego, co Błokowskie w powszechnym odczuciu i pamięci, że skłanialibyśmy się do traktowania tego utworu poety jako ciekawostki historyczno-literackiej, marginesowej pracy kompilatorskiej z okresu, kiedy milczały Muzy.

Jednak po odczytaniu owego „pobocznego" dziełka nie sposób oprzeć się wrażeniu, że zasługuje na baczniejszą uwagę, zarówno jako przyczynek do historii Rosji XX wieku, jak i utwór literacki, organicznie związany z ewolucją myśli politycznej i pisarstwem Błoka w rewolucyjnym czasie 1917—1918.

W maju 1917 roku Błok powołany zostaje na naczelnego redaktora literackiego protokołów prac Nadzwyczajnej Komisji Śledczej ustanowionej przez Rząd Tymczasowy. Komisja Nadzwyczajna przesłuchuje byłych ministrów rządu carskiego i dygnitarzy osadzonych w Twierdzy Pietropawłowskiej, oskarżonych o naruszenie zasad praworządności i nadużycia władzy. W tym okresie Błok na gorąco kreśli w swoich notatnikach zapiski o przebiegu śledztwa, o konfrontacjach, daje zwarte charakterystyki — wizerunki niedawnych panów życia i śmierci ludu rosyjskiego, utrwala obraz ich nędzy moralnej.

Samo życie oddaje w ręce pisarza realia jego przyszłej książki o ostatnich dniach caratu: protokoły zeznań, tajne akta państwowe, korespondencję służbową i prywatna, dzienniki i notatki dygnitarzy cywilnych i wojskowych, raporty ochrony.

Błok staje się więc swoistym historykiem samodzierżawia, podobnie jak jego wielki poetycki antenat i imiennik, Aleksander Puszkin, podejmujący pracę nad historią buntu Pugaczowa.

Aleksander Błok „Ostatnie dni caratu". Przełożył i wstępem opatrzył Adam Galis. Wyd. Czytelnik, cena zł 38.

LUDZIE I SPRAWY

Już dwie książki Włodzimierza Sokorskiego narobiły sporo szumu — „Notatki" i „Piotr". Trzecia — czyli „Ludzie i sprawy" może jest nieco mniej sensacyjna, ale też czyta się ją znakomicie. Dowiedzieć się można od Sokorskiego bardzo wielu rzeczy interesujących, nieznanych, anegdotycznych, choć oczywiście nie ucieka autor od spraw ważnych i zasadniczych. Ale nawet wówczas, gdy przyjmuje ton powagi, też można go czytać z zainteresowaniem i — co tu kryć — z przyjemnością.

To smutne, jak mało ludzi potrafi pisać interesująco o sprawach poważnych. Sokorski potrafi nie tylko to.

Pisze: „Kiedyś Karol Kuryluk zapytał mnie, jak to się stało, że tak długo potrafiłem być ministrem kultury i sztuki w tak trudnych warunkach. Odpowiedziałem, że po pierwsze kochałem sztukę i ceniłem ludzi sztuki, a po drugie zawsze wiedziałem z kim ludzie śpią i, co najważniejsze, z kim spać będą".

Nie jest to może najlepsza recepta na kierowanie resortem, ale przynajmniej świadczy o poczuciu humoru.

Włodzimierz Sokorski „Ludzie i sprawy", Wyd. Artystyczne i Filmowe, cena zł 33.

RYSUNKI ANDRZEJA KRAUZEGO

„Nowość: szczęście w aerozolu" — głosi Andrzej Krauze w sympatycznej acz diablo złośliwej książeczce wydanej przez „Czytelnika". Rysunki Krauzego wszyscy znają z ostatniej kolumny „Kultury" i trzeba przyznać, że te rysowane felietony nie ustępują dowcipem i finezją najlepszym wzorom tego gatunku. Rysunki Krauzego są zauważane, o nich się mówi, cytuje się w rozmowach... Te wszystkie zwroty: „Róbta tak dalej", „W rencach to my jesteśmy mocne", „Wejdźta w moją poetykę" — powoli trafiają do potocznego języka, co nie dziwi, bo przecież z potocznego języka i codziennych, życiowych sytuacji wyszły te zwroty i te dowcipy.

Andrzej Krauze wywodzi się z dobrej szkoły redakcji „Szpilek", gdzie debiutował przed siedmioma laty jako dwudziestotrzyletni „młody zdolny". Krótko potem Krauze realizuje swój pierwszy film animowany pt. „Lekcja fruwania". Z „Kulturą" współpracuje od czterech lat, brał też udział w wielu wystawach plakatu i rysunku satyrycznego zarówno w kraju jak i za granicą.

Tytuł pierwszej książeczki Andrzeja Krauzego głosi w awersie okładki: „Szczęście w aerozolu", w rewersie zaś informuje, że „Jest dobrze". Więcej powiem. Jest bardzo dobrze.

Andrzej Krauze, „Nowość: szczęście w aerozolu", Wyd. Czytelnik, cena zł 20

PLASTYKA

NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ

W Salonie Sztuki Współczesnej BWA rzadko spotykany ruch. Licznym widzom dostarcza tu satysfakcji malarstwo Andrzeja Sadowskiego, przedstawiciela młodszego pokolenia łódzkich artystów. W gronie kolegów oraz na ogólnopolskim forum Sadowski zdobył, i od kilku już lat pielęgnuje, pozycję „realisty fotograficznego".

Wypadałoby jego malarstwo nazwać od razu po imieniu — hiperrealizmem, z którego niewątpliwie się wywodzi. Ale dla mnie przynajmniej nie jest to sprawa jednoznaczna. Hiperrealizm (zwielokrotniony realizm, więcej niż superdokładność odtwarzania) był przedkilku laty nowością światowej sztuki; uprawiali go młodzi Hiszpanie, Amerykanie i Niemcy — niektórzy wierni tej orientacji do dzisiaj. Tworzywem dla hiperrealizmu było cywilizacyjne bogactwo, najbardziej efektowne wycinki rzeczywistości. Krytycy nie wahali się dojrzeć w tej nad-naturalistycznej modzie „drugiej fali" zainteresowania urodą świata konsumpcyjnego przepychu, reklam i gadgetów, którą w latach 60-tych karmił się pop-art. Hiperrealistyczne obrazy w wydaniu hiszpańskim korzystały często z symboliki baroku, ale Amerykanie poruszali się najchętniej w kręgu neonów, lśniących tafli wystaw wielkich magazynów, połyskujących nieskazitelnym lakierem karoserii Porsche i Chevroletów.

Na równi z warsztatową perfekcją środkiem wyrazu stawała się fotografia reklamowa — bez której niemożliwe było zarejestrowanie owej rzeczywistości z maksymalną wiernością szczegółów. Wszystko widzący obiektyw utrwalał przypadkowe zderzenia form i kolorów o zaskakującej wymowie, dokonywał fascynującej wiwisekcji świata, jaki dla odbiorców konsumpcyjnego dobra był już codziennością. Przeniesione następnie na ogromne powierzchnie obrazy raziły swoją zwielokrotnioną sztucznością; niekiedy budziły odrazę — jak wówczas, gdy ogląda się makroskopowe powiększenie głowy motyla. Cały niemal ruch hiperrealistyczny w początkowym okresie był narzędziem kontestacji. Jego twórcy demonstrowali przy okazji kolejny z możliwych sposobów przetwarzania świata, sposób kojarzenia tradycyjnego warsztatu z plastikowo-chromową codziennością. Obraz hiperrealistyczny był „hand painted" — ręcznie malowany, ale perfekcyjny jak spod maszyny drukarskiej — reguł tej gry przestrzegano z ogromną skrupulatnością.

Między innymi dlatego właśnie malarstwa Andrzeja Sadowskiego nie można nazwać hiperrealizmem. Wyłamuje się on bowiem z konwencji, nie dopracowuje szczegółów, pozostawia widzowi konieczność oglądania obrazów z oddalenia zacierającego ślady pędzla i chropowatości płótna. Są wprawdzie na jego wystawie piękne samochody, efektownie rozpędzony motocykl Husqvarna, butelka ginu z kolorowej reklamy w magazynie Time. Są powiększone zdjęcia dokumentacyjne — z nagrania telewizyjnej audycji, z rodzinnego przyjęcia, barwne pocztówki z Niemiec Zachodnich. Jako tematy obrazów wykorzystywane są jednak głównie — można się domyślać — kolorowe przeźrocza. Ich różnorodność (od letnich „widoczków" po miejskie pejzaże i dokumentację intymnych zdarzeń) żywo przypomina podręczny zbiór slajdów — archiwum nowoczesnych oleodruków niezbyt odkrywczego fotoamatora. Dopiero malarski zabieg przeniesienia na płótno daje możliwość podkreślenia wybranych momentów — jakby dla stwierdzenia, że w każdej, nawet najbardziej banalnej „rzeczywistości" istnieją ukryte atrakcje.

Realizm jest wielką historyczną konwencją sztuki. Fotografia narodziła się z pasji dokumentowania świata w jego rzeczywistym, nie fałszowanym kształcie. Nazwałem Sadowskiego „realistą fotograficznym" na własną odpowiedzialność i w przekonaniu, że będzie to lepsze niż termin „hiperrealizm".

Tak czy inaczej zaszufladkowana — wystawa podoba się widzom, jak wszystko co we współczesnej sztuce komunikatywne, powiedziane wprost i bez zbytnich udziwnień. Tylko czy o to właśnie chodziło autorowi...

ANDRZEJ MAJER

MUZYKA

TRZY SYMFONIE KACHIDZE

Symfonia „Linzka" Mozarta w wersji Kachidze, opracowana w najdrobniejszych szczegółach, artykulacyjnie precyzyjnie ustalona, poprowadzona w umiarkowanych i dokładnie zachowanych do końca każdej z części tempach nie trafiła z jednego tylko powodu. Mimo bardzo wyraźnej pracy z zespołem, mimo dążenia do pokazywania tematów przez odsunięcie harmonii na mniej ważny plan (co się też mało udało), mimo unikania egzaltacji w co ładniejszym motywie (proste Poco adagio) nie udał się nam Mozart, a nawet wydał się przerafinowany. Zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie ze względów zawodowych musiało grać tę symfonię aż tylu muzyków, bo gdyby tylko pomyślano o mozartowskim składzie orkiestry, wszystko udałoby się nad podziw. Co z tego, że Kachidze pokazuje szesnastkowe podziały a zespołowi pracuje się z nim bardzo wygodnie, jeśli to wszystko musiało wypaść za grubo?

Kapitalnym utworem ilustracyjnym — jak gdyby muzyczny przekład obrazów i wrażeń zapełniających wyobraźnię artysty — malarza — okazała się symfonia „Pirosmani". Kachidze zmieścił w utworze dosłownie wszystko — od nastrojowej melodii pozytywki po znakomity pastisz marsza orkiestry dętej, od zamyślonej jakby zza-pirenejskiej samotnej gitary aż po szaleńczy taniec. Jakże proste i czytelne odnotowanie wrażeń człowieka kroczącego przez świat z najwyższą dla jego zjawisk ciekawością przy jednoczesnych komplikacjach metrycznych partytury. Bardzo ładne sola gitary i wiolonczeli. Wyobrażam sobie, ile czasu pochłonęła praca nad tą symfonią, aby można ją było zaprezentować z takim urokiem.

Ponieważ dobre wykonanie ma tę właściwość, że może bez szkody znosić najbardziej drobiazgową krytykę, kilka moich spostrzeżeń tyczących IV symfonii Czajkowskiego:

Po drapieżnym andante sostenuto znakomite dialogi klarnetu, fletu, fagotu i oboju oraz kapitalne cantabile wiolonczeli — później rogu. Za głośna jednak blacha w charakterystycznych dla I części motywach rytmicznych, gdy temat wiodły inne instrumenty. Waltorniom zaś niezbyt się w oktawach stroiło. Świetne tempa. Zdziwiło mnie obojętne solo obojowe otwierające II część. Może takie były założenia, chociaż... in modo di canzona? Zresztą ten sam temat w fagotach, altówkach i wiolonczelach wypadł przecież zgrabniej. Osmyczkowanie taktów 260—4—8 w wiolonczelach albo było dziwne, albo miejsce to zwyczajnie się udało. Scherzo dobrze przygotowało szaleńcze w tempie Finale. Bardzo dobra blacha w tempo primo, a w pizzicatach kwintetu znakomicie wyczuwalne „raz" na pauzach. Finał, jak rzekłem — szalony. Wiedząc, że niewiele czasu mógł poświęcić zespół na tę symfonię, troszeczkę bałem się o tę część zwłaszcza. Tymczasem Kachidze wziął takie tempo, że pozostało mi tylko po cichu pomyśleć: „Kachidze — kamikaze" i byle tylko doczekać do końca. Potem owacje, „buczenie" publiczności o bis... Ponieważ prowadzone są próby „Ślubu w klasztorze" Prokofiewa, oglądajmy się za afiszem anonsującym tę operę. To będzie ten sam Kachidze.

W przeddzień opisanego koncertu wybrałem się posłuchać byłej „książęcej" orkiestry Ellingtona. Trudno odpowiedzieć, dokąd teraz zmierza ta „karawana". Mało tam zostało z Duke'a a indywidualności rozsadzają zespół od środka. Czas na zmianę nazwy firmy. Chociaż wciąż fascynuje swoboda, łatwość i brak spięć, ale nie są to znowu takie wielkie dziwy. Po prostu w nawet dokładnie przygotowanych „improwizacjach" nie gra się tych nut, które w danym momencie są niewygodne. Wymagania stawiane muzykom europejskich tradycji muzycznych nie dają się porównywać, ale najbardziej zastanawiająca różnica leży w tym, że gdy my latami uczymy się naszego muzycznego wnętrza poprzez swoje instrumenty, oni je po prostu skądś mają. Biorą więc zwyczajnie instrumenty i grają. I to jeszcze jak!

PIOTR PIETRZAK

BALET

MYŚL TAŃCEM ZAPISANA

Liczna w Łodzi rzesza miłośników Terpsychory znów przeżyć mogła swoje wielkie święto. Oto na scenie Teatru Wielkiego po raz wtóry już zaprezentował swoją sztukę POLSKI TEATR TAŃCA — BALET POZNAŃSKI. Jego dyrektor i kierownik artystyczny, twórca wybitnych osiągnięć poznańskiego zespołu, znakomity choreograf Conrad Drzewiecki przedstawił nam tym razem dwie najnowsze pozycje z repertuaru swego teatru: 5 Nokturnów Fryderyka Chopina i „Stabat Mater" Krzysztofa Pendereckiego. Obydwie prezentacje przyniosły kolejne dowody uzasadniające słuszność powszechnej opinii o wyjątkowości Polskiego Teatru Tańca i raz jeszcze potwierdziły najwyższą klasę tego zespołu.

Polski Teatr Tańca jest zespołem o szczególnej i nad wyraz cennej wartości, na którą chciałabym zwrócić uwagę mniej znających go czytelników. Wolny od wszelkich zadań świadczonych na rzecz opery jest jedynym w Polsce autonomicznym zespołem baletowym i ta właśnie autonomiczność sprawiła, iż wyszedł on poza sztywne ramy typowego „zespołu baletowego" i stał się teatrem tańca, teatrem poszukującym i twórczym, a przede wszystkim myślącym i proponującym. Propozycje Polskiego Teatru Tańca są propozycjami nie tylko z kręgu formy, ale także — co ważniejsze — z kręgu treści. Tej godnej najwyższego uznania głębi myśli dowodzą kolejne realizacje sceniczne. Artyści tego teatru w tak znakomity sposób uprawiają swoją sztukę, że sposób ten, acz istotnie świetny, przestaje być już sprawą najwyższej wagi. Przed tancerzami z Poznania otworzył się wyższy stopień wtajemniczenia. Góruje bowiem nad sposobem zrodzony dzięki niemu nastrój i pełnia wyrażonej treści.

Osiągnięcie tej proporcji, najwłaściwszej przecież dla każdej dziedziny sztuki, nie przychodzi łatwo. Wymaga bowiem nie tylko talentu, ale i żmudnej pracy, a w przypadku zespołu baletowego — obok koniecznej sprawności technicznej także rozległego intelektu i wielkiej wrażliwości. Polski Teatr Tańca spełnia wszystkie wymienione tu postulaty. Dzięki temu jest on teatrem głębokiego uczucia. Ofiarowane odbiorcy doznania estetyczne idą w parze z wrażeniami natury emocjonalnej. Obydwa nurty składają się na pełną intensywność przeżyć.

Zachwyt nad sztuką choreograficzną Conrada Drzewieckiego i jego teatrem jest owocem zrodzonym z uznania dla twórczego ducha wielkiego artysty i wrażliwego człowieka, a także dla zespołu, który dzieli z nim artystyczną szlachetność i pasję tworzenia, czego dowodem są kolejne poznańskie baletowe spektakle teatralne.

Sceniczne konkretyzacje myśli i przeżyć twórcy w wyraźny sposób podkreślają ich emocjonalny charakter każąc genezy swej szukać w sferze uczuć. Przez to zapewne konkretyzacje te są tak pełne i żywe jak owe dwie połączone w jeden wieczór propozycje baletowe przedstawione przez Polski Teatr Tańca na deskach Teatru Wielkiego. Tę pełnię osiągnął Balet Poznański także dzięki właściwemu użyciu wszystkich środków teatralnego wyrazu.

Szlachetne piękno muzyki Chopina urzekało i inspirowało wielu choreografów. Conrad Drzewiecki znalazł dla niej swój własny, indywidualny, a głębią odpowiadający jej randze, wartości i treści kształt baletowy. Nie wdając się w szczegółowy opis technicznej strony zaprezentowanych układów choreograficznych podkreślić pragnę ich szlachetną prostotę i osiągniętą dzięki niej siłę dramatyczną; siłę, której źródła szukać należy w tym wszystkim, co najtrwalszymi więzami łączy całe pokolenia Polaków z nieśmiertelną muzyką Chopina, muzyką zrodzoną na gruncie narodowych przeżyć. Układ choreograficzny zaproponowany dla niej przez Conrada Drzewieckiego jest próbą określenia znaczeń pozornie niewyrażalnych, próbą polegającą przede wszystkim na stworzeniu nastroju i owego nieuchwytnego, a przecież jakże sugestywnego klimatu i napięcia. Podkreślmy to mocno — próbą w pełni udaną i słusznie z takim entuzjazmem przyjętą przez zgromadzoną na widowni publiczność.

Intensywność przeżycia, tak charakterystyczna dla całej twórczości Conrada Drzewieckiego znalazła swój najpełniejszy wyraz w choreograficznej realizacji „Stabat Mater" Krzysztofa Pendereckiego. Nadzwyczaj wysoką temperaturę emocjonalną tego dramatycznego widowiska określił tu zarówno temat kompozycji od pokoleń inspirujący twórców, monumentalne, a jednocześnie skondensowane w swej budowie i wyrazie muzyczne ukształtowanie go przez Krzysztofa Pendereckiego („Stabat Mater" jest drugą, a przy tym całkiem zamkniętą w swej konstrukcji częścią jego wielkiej „Pasji według Świętego Łukasza") i ów szczególnie piękny wyraz sceniczny, którym świetny choreograf przekazał zagęszczoną atmosferę tego utworu.

Dzięki temu właśnie wyrazowi przeżyliśmy utwór z całą godną go intensywnością. Podporządkowane nadrzędnemu celowi środki inscenizacyjno-ruchowe wypełniły żywą treścią odwieczny temat narodzin i śmierci człowieka, piękny temat zwycięstwa człowieczego ducha.

Znakomite połączenie propozycji choreograficznej Conrada Drzewieckiego z sugestywną scenografią Antoniego Zydronia, pełną maestrii interpretacją muzyczną Poznańskiego Chóru Chłopięcego pod dyrekcją Jerzego Kurczewskiego i mistrzowską recytacją łacińskiego tekstu przez Tadeusza Drzewieckiego dało w efekcie spójną, wręcz organiczną całość. Z głębokim zrozumieniem przekazywanych treści wykonał swe partie cały zespół Polskiego Teatru Tańca, na którego tle dramatyczne kreacje stworzyli: Bożena Lasota i Emil Wesołowski.

Takie kreacje baletowe, a mówiąc dalej — tak pełne inscenizacje teatralne chcielibyśmy oglądać częściej.

Polski Teatr Tańca urzeka mistrzowskim opanowaniem pięknej sztuki baletowej, budzi podziw umiejętnością szlachetnego i owocnego połączenia wszystkich tworzyw teatru, podbija głębią kreującej go myśli, a wzrusza pełnią autentycznego uczucia.

EWA PANKIEWICZ

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

HISTORIA CO TYDZIEŃ

Pierwszy tom „Historii co tydzień" Kazimierza Koźniewskiego czytałem jak opowieść historyczną. Oczywiście — po latach — trafiły i do moich rąk te słynne egzemplarze „Wiadomości Literackich", „Orki na ugorze", „Sygnałów"... Ale czytałem je w zaciszu sal bibliotecznych, oprawione w sztywny karton roczników. Te pisma nie przylegały do mojego świata, były ucieczką w historię. Pasjonującą, ale tylko historią.

Tak więc i monografię owych głośnych pism dwudziestolecia międzywojennego czytałem jak opowieść historyczną.

Wreszcie ukazał się drugi tom monografii opowiadający o pismach z lat 1945—1950. „Kuźnica", „Odrodzenie", „Twórczość". „Nowiny Literackie"... Właśnie. „Nowiny Literackie". Zimą 1948 roku wypatrzyłem w budce z gazetami (właśnie: w budce — nie było jeszcze kiosków „Ruchu") gazetę z wierszami na pierwszej kolumnie. To była zupełnie inna gazeta niż te spotykane na co dzień — właśnie dzięki tym wierszom na pierwszej stronie. Kupiłem. Niewiele z tego zrozumiał ówczesny dwudziestolatek, poza wierszami Leopolda Staffa... Potem pytałem w budce o „Nowiny" — nie było ich, a kioskarz niewiele mógł powiedzieć, dlaczego?

Po latach Koźniewski napisze: „Decyzja likwidująca „Nowiny" płynęła z dwóch przyczyn..." Oczywiście — dziś to wiem.

Pamiętam też — prenumerowane w szkolnej bibliotece — „Kuźnicę" i „Odrodzenie". Pamiętam kobylaste artykuły Melanii Kierczyńskiej i Stefana Żółkiewskiego, z których zupełnie nic nie rozumiałem. Wówczas bardzo bolałem nad moim niedostatkiem wiedzy, ale dziś wiem, że pokrętność stylu i niezrozumiała frazeologia pełni zawsze bardzo proste funkcje.

„Kuźnica" i „Odrodzenie"... Do tego drugiego pisma sięgałem chętniej w szkolnej bibliotece. Dziś też wiem dlaczego. Były po prostu redagowane przez genialnego redaktora, Karola Kuryluka, który umiał i wiedział, jak się robi pismo. „Odrodzenie" zresztą nawiązywało do najlepszej w dziejach nowoczesnego czasopiśmiennictwa — formuły magazynu społeczno-literackiego, jaką stworzył przed wojną Mieczysław Grydzewski.

A „Kuźnica"? Było to pismo — dziś to mogę ocenić — znakomite, ale redagowane przez filozofów i polityków, nie przez redaktorów. Było robione niedbale i szaro z punktu widzenia redaktorskiej sztuki.

„Kuźnica" puchła od polemik, ale ich smak (i humor!) mogę ocenić dopiero dziś. Wówczas było to pismo za trudne dla trzynasto-czternastolatka, i nic dziwnego, bo wydawano je dla intelektualnej elity. Ale jakby nie było — pamiętam „Kuźnicę" z lat własnej młodości i nie jest już ona dla mnie historią.

A potem, kiedy z połączenia „Kuźnicy" i „Odrodzenia" powstała „Nowa Kultura", ta formalna kontynuacja owych dwu czasopism była już w jakimś sensie m o i m pismem. W „Nowej Kulturze" znalazło się miejsce także i na moje wiersze.

Pisząc o znakomitej monografii Kazimierza Koźniewskiego, celowo potrącam struny osobistych wspomnień. Nie potrafię sucho relacjonować zawartości tej mądrej i potrzebnej książki — nie chcę natomiast snuć gorzkich refleksji.

Bo jednak żal. Żal, że w jakimś tam momencie coś pękło, coś się rozlało, coś się zagubiło. Iwaszkiewicz nie uratował „Nowin Literackich", Kuryluk nie wrócił więcej do redagowania, do pasji i powołania swego życia. Z różnorodnej i migotliwej panoramy pism pozostał do dziś „Przekrój" i... „Tygodnik Powszechny". No i „Twórczość", która — po latach — wróciła do dawnej świetności, już w Warszawie pod redakcją Iwaszkiewicza.

A reszta to już dziś historia. Jednak historia. Piękna, ale i trudna, skomplikowana i pouczająca.

WIDOK

Foto: W. Parys

LEWYM OKIEM

TWARZE W OKNACH

Mieszkańcy nowoczesnych wielkomiejskich bloków nie podchodzą nigdy do okien. Okno w mieszkaniu na piętnastym piętrze spełnia rolę wyłącznie świetlika, służy do tego, żeby w dzień nie trzeba było wypalać żarówek, żebyśmy się wzajemnie w tym naszym M-trzy widzieli. Za oknem jest próżnia, nie ma nic, po co tam podchodzić? Spojrzenie w dół, na rojące się głęboko pod nami mrówki, przyprawia o zawrót głowy, świat wcale nie wchodzi przez takie spojrzenie do środka naszych wyobrażeń, raczej się jeszcze oddala i staje bardziej obcy. Okno jest złem koniecznym, gdyby go nie było pokój byłby bardziej „ustawny": zmieścilibyśmy w nim jeszcze jeden regał, taki od podłogi do sufitu.

Jeżeli blok stoi w jednym z najnowszych osiedli, za oknami parteru i niższych pięter też jest próżnia. Tam najwyżej hałasują dzieci, dopóki mają gdzie biegać pomiędzy setkami zaparkowanych samochodów. Zresztą dzieciom brak zarówno miejsca, jak i czasu. Przecież cały dzień spędzają w przedszkolach i jeśli huśtają się i grają w policjantów i złodziei, to właśnie tam, nie na własnych „terenach zielonych". Jak wyrosną z przedszkola — pójdą do szkoły. Do domu wracać będą na telewizję, a nie na zabawę z rówieśnikami. Krzyk dzieci ucichnie, zastąpi go warkot zapuszczanych silników. Nie ma po co podchodzić do okien, nie ma tam naszych pociech i wnuków, które trzeba by z daleka chronić, „mieć na oku".

Są jeszcze w wielkich miastach domy stare, stojące przy ulicach o zwartej zabudowie. W takich domach otwarcie okna zwiększa udrękę hałasu, kurzu i sadzy, więc okien się nie otwiera. Zasłania się je tkaninami w abstrakcyjne wzory, nie odsłania się nigdy — bo naprzeciwko mieszkają ludzie absolutnie nieznani, którym wara od naszych domowych zwyczajów i intymności.

Jeszcze tylko w małych miasteczkach, na uroczych starych lub udających stare rynkach, różnych Miliczów, Krośniewic, Santoków i Parczewów zobaczyć można o każdej porze dnia twarze ludzkie, tkwiące nieruchomo w ramach otwartych okien. Twarze są stare lub bardzo stare. Starzy ludzie mają za dużo czasu, nogi nie chcą ich już nosić po świecie, okno własnego domu staje się ostatnią więzią ze światem. Starzy ludzie w wielkich miastach nie mają takiej szansy, nie mają okien, przez które można jeszcze uczestniczyć — chociaż biernie — w toczącym się tuż obok prawdziwym życiu. Życie na starych lub udających stare rynkach jest na szczęście wciąż jeszcze zrozumiałe, nie przeraża zwariowanym pędem, ściskiem i wrzaskiem: pod oknami przechodzą ludzie, z których niejednego zna się osobiście. To przecież ciekawe, dokąd on dzisiaj idzie i po co.

W miastach amerykańskich już od dawna buduje się domy w ogóle bez okien. Atmosfera dookoła jest już tak skażona i pełna wściekłych ryków, że o wiele przyjemniej jest stworzyć własną, sztuczną, wewnętrzną atmosferę elektrycznych klimatyzatorów. Można sobie regulować temperaturę, ciśnienie, wilgotność i zapach. Można mieć noc permanentną i nieustanny dzień. Jak robak z niemieckiej bajki, siedzący wewnątrz kamyka na dnie oceanu, którego tylko śmierć zdoła odnaleźć, jeśli sam przestanie się przypominać innym robakom.

Mówimy o domach do mieszkania. W innych budynkach, o określonym przeznaczeniu, okien tym bardziej nie potrzeba. Stosunek powierzchni użytkowej do ścian zewnętrznych, a więc tych przez które mogłoby do wnętrza dotrzeć światło dzienne, jest taki, że to światło i tak nie sięgnęłoby głębiej niż do samego naskórka takiego gmachu. Więc w domach towarowych, w biurach, w bankach i urzędach, w magazynach i fabrykach rezygnujemy ze staroświeckiego systemu okien. Przestały być potrzebne.

To nie są tylko proste różnice techniczne. Wraz z nimi występują przecież zasadnicze zmiany całych obszarów obyczajowych, zmiany semantyczne w pojęciach — nawet tak zdawałoby się jednoznacznych jak pojęcie okna. Aż miałbym ochotę wrócić jeszcze do tego tematu. Tymczasem wspomnę tylko taki drobiażdżek z innej beczki:

Tylko co pisałem z przekąsem, że jednym z nielicznych naszych wyrobów, jakie uzyskały pochwałę międzynarodową, był kompot z jagód i sałatka z fasoli. A oto pisze „Polityka", że podczas kontroli jakościowej w pionie handlu wewnętrznego „najwięcej zastrzeżeń budziły sery, p r z e t w o r y o w o c o w o-w a r z y w n e, makarony i koncentraty spożywcze". Czyli nawet z tej mizernej i żenującej pochwały nie dane nam było zbyt długo się cieszyć. Do licha ciężkiego!

ĆWIEK

SPORT

ZMĘCZENI BOHATEROWIE

Jesienny sezon piłkarski mamy już właściwie z głowy. Bywały momenty, kiedy chciało się kibicowi śmiać, płakać, albo wręcz ziewać. W sumie było różnie. Człowiek ma jednak taką naturę, że szybko zapomina o tym, co było przykre, a pamięta natomiast dokładnie wydarzenia przyjemne. Spróbujmy jednak spojrzeć na miniony sezon piłkarski inaczej, właśnie od strony tych faktów, które chciałoby się szybko zapomnieć.

Po pierwsze — liga, a w lidze pozycja ŁKS, Widzewa i Startu. Z tych trzech drużyn najlepiej uplasowała się jedenastka ŁKS, zajmując drugie miejsce w tabeli I ligi.

Po drugie — puchary. Wiadomo. Już dalej bez polskich drużyn.

Po trzecie — Mundial 78. Awansowaliśmy do finału.

Wszyscy sprawozdawcy zgodnie chwalili aktualnego lidera I ligi — krakowską Wisłę, podkreślając, że przez 1350 minut drużyna ta grała bez porażki. Wisła jest bezapelacyjnym liderem tabeli, mając przewagę czterech punktów nad drużyną ŁKS. Warto jednak pamiętać, że w kilku ostatnich meczach Wisła tylko remisowała, co można różnie oceniać. Z ligowej praktyki wiemy przecież, że nawet najlepiej spisujące się drużyny, po przerwie w rozgrywkach, prezentowały znacznie gorszy poziom. Kibic ma więc prawo pytać, czy remisy Wisły wynikają ze zmęczenia tego zespołu i czy po przerwie zimowej będzie on nadal prezentował tak wysoką formę.

ŁKS, mimo że zajmuje drugą pozycję w tabeli, wcale nie jest w najlepszej sytuacji. Od trzeciej drużyny tabeli — poznańskiego Lecha — dzieli go zaledwie 1 pkt., a od warszawskiej Legii i mieleckiej Stali — 2 punkty. Trzeba więc będzie podczas wiosennej rundy włożyć wiele wysiłku, aby utrzymać tę pozycję, bo goniących ŁKS jest spora gromada.

Kibiców powinna martwić piętnasta pozycja Widzewa w I lidze i również piętnasta pozycja Startu w II lidze. Obie drużyny, w czasie jesiennej rundy, zmieniły trenerów, co jak do tej pory, nie dało spodziewanych wyników. Komentatorzy sportowi już niejednokrotnie podkreślali, że zmiana trenera nie zawsze jest jedynym sposobem na rozwiązanie piłkarskich kłopotów. Wprawdzie Widzew ma do rozegrania jeden zaległy mecz, ale jeśli nawet ze Śląskiem wygra, to i tak nie zmieni to faktu, że coś się w tej drużynie popsuło.

Chwalono wprawdzie Widzew za mecze pucharowe, i rzeczywiście zespół ten był autorem sensacyjnego wyeliminowania Manchesteru City, odważnie stawiał czoła drużynie PSV Eindhoven ale te pochwały nie mogą przesłonić braków tej drużyny. Los Widzewa w pucharowych rozgrywkach — podobnie, jak i Górnika — został już przesądzony w pierwszych spotkaniach. Wiadomo było, że ani jedna, ani druga drużyna nie będą w stanie wygrać w rewanżowym meczu przewagą trzech bramek. Wprawdzie teoretycznie taka możliwość istniała, ale nawet najbardziej optymistycznie patrzący kibic powinien pamiętać o rzeczywistości. A rzeczywistość jest taka, że jak do tej pory nie mieliśmy przyzwoitej drużyny „eksportowej", tak nie mamy jej nadal. I nawet Górnik, z którym wiązano ciche nadzieje — pamiętając o dawnych sukcesach tego klubu — do takiej roli jeszcze nie dorósł.

Trzecia sprawa, czyli dalsze losy naszej reprezentacji na mistrzostwach świata w Argentynie, rodzą najwięcej kontrowersji i mitów. W swoich poglądach na polską reprezentację kibice popadają ze skrajności w skrajność. Po kilku niepowodzeniach kadry kibic machał ręką i mówił: patałachy. Wystarczyło jedno zwycięstwo nad Danią, aby niemal wszyscy uwierzyli, że na nas nie ma mocnych. Mecz z Portugalią uznano za spacerek, a spory wywoływał jedynie wynik. Powszechnie uważano, co widać było na różnych transparentach, że dokopiemy Portugalczykom minimum cztery bramki. Sugestii tej ulegli nawet nasi piłkarze, co wszyscy mogli sobie obejrzeć w telewizji, w Studio 2. Nikt raczej nie przewidywał, że może być remis, nikt nie zauważył, że drużyna portugalska z Porto i drużyna portugalska, która przyjedzie do Chorzowa — to dwa zupełnie różne zespoły. Remis załatwił nam wprawdzie awans do finałów Mundial 78, ale zostawił pewien niepokój. Postawa Portugalczyków w Chorzowie dowiodła, że w ciągu paru miesięcy można tak przebudować drużynę, iż stanie się ona groźna dla przeciwników. Jednocześnie mecz ten dowiódł, że proces przebudowy naszej reprezentacji w jakimś punkcie się zatrzymał. Portugalczycy zaskoczyli nas w Chorzowie tak, jak Polacy zaskoczyli kiedyś Anglików na Wembley. Porównywano nawet oba remisy, doszukując się w nich analogii. Ale nie jestem przekonana, czy wszyscy porównujący zdają sobie sprawę z istotnej różnicy. Na Wembley polska drużyna była u początku kariery. W Chorzowie już tylko broniła swojej pozycji. I to broniła z trudem.

Do mistrzostw świata w Argentynie zostało osiem miesięcy. Pytanie, czy przez ten czas potrafimy stworzyć taką drużynę, która byłaby zaskoczeniem dla innych, jest nadal aktualne. Przy tym wszystkim nie można zapomnieć o przypadku choćby tylko Włochów, którzy przed czterema laty w Monachium też bronili swojej sławy. A jest to przykład znamienny.

BOGDA MADEJ

PROPOZYCJE

WSPÓLNY MIANOWNIK

Na początku października w felietonie pt. „Czyste kartki" przedstawiłem kilka przypadków sprzedawania po wcale nie bagatelnych cenach książek, które w zasadzie nie nadawały się do użytku. W książkach tych bowiem, albo dość obficie występowały białe kartki, albo poszczególne fragmenty były dwa razy powtarzane. Na przykład po stronie 162 powtarzał się ten sam fragment książki od strony 86, natomiast nie było stron od 163 do 191. W ten sposób czytelnik — co prawda — mógł sobie dokładnie utrwalić pewne rozdziały książki, ale nie bardzo wiedział, co zdarzyło się dalej.

W odpowiedzi na felieton „Czyste kartki" przyszły listy od krytykowanych. Łódzkie Zakłady Graficzne, wyjaśniając przyczyny powstania defektów w niektórych egzemplarzach książki Margaret Mitchel „Przeminęło z wiatrem" piszą m.in.:

„Nie wdrażając się w techniczne przyczyny powstania braków, bezsprzecznym faktem jest, że niektórzy pracownicy drukarni niedokładnie wykonują swoje obowiązki, co jest bezpośrednią przyczyną powstania defektów. Pomimo stosowania różnych form wynagradzania za jakość produkcji i prób udoskonalania systemu kontroli powstają w nim pewne luki, którymi przedostają się na rynek zewnętrzny zdefektowane egzemplarze".

Łódzkie Zakłady Graficzne przepraszają więc czytelników i zapewniają, że dołożą „wszelkich starań, aby książki wykonywane przez nas były z zadowoleniem czytane, a nie przysparzały kłopotu czytelnikom".

Podobne pismo przyszło też z Drukarni Narodowej w Krakowie, której kierownictwo przeprasza za stwierdzone defekty w książkach K. Estriechera „Historia sztuki w zarysie" i J. Hałysa „Polska piłka nożna". W liście tym stwierdza się poza tym:

„W celu częściowego usprawiedliwienia drukarni informujemy, że eksploatowane przez nas szybkobieżne maszyny drukujące stwarzają technologicznie możliwości jednostronnego zadrukowania arkuszy, co przy nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy „Historii..." jest nie do uniknięcia wycofania w 100 procentach z nakładu książek z wadami. „Piłkę nożną" wykonywały w kooperacji trzy różne drukarnie, stąd powstanie wad jakościowych jest możliwe w większym stopniu w porównaniu z pracą bez kooperantów".

Kierownictwo Drukarni Narodowej w Krakowie również zapewnia, że dołoży wszelkich starań, aby zmniejszyć ilość braków, informując jednocześnie, że ma w tej dziedzinie już pewne osiągnięcia. Jeśli bowiem w roku 1975 książki z defektami stanowiły 0,094 proc., to w roku ubiegłym już tylko 0,089 wszystkich wydrukowanych.

Cieszy niewątpliwie fakt szybkiej i rzeczowej reakcji na krytykę, gdyż dowodzi to postępu w tej dziedzinie. Coraz rzadziej bowiem krytykowani milczą, a to pozwala sądzić, że nie tylko reagują na krytykę na piśmie, ale też w produkcyjnej rzeczywistości. Wdzięczny jestem kierownictwom obu drukarni za ich listy i myślę, że nie będą mieć do mnie pretensji, jeśli potraktuję ich wypowiedzi jako pretekst do rozważań nieco szerszej natury. Zastanawia mnie bowiem zjawisko polegające na tym, że postęp techniczny zamiast przyczyniać się do poprawy jakości, niemal nieuchronnie powoduje jej pogarszanie się. Zjawisko to występuje przecież nie tylko w poligrafii.

W budownictwie mieszkaniowym na przykład, które w 60 procentach korzysta z produkcji innych przemysłów, udział wyrobów przemysłu chemicznego powinien zdecydowanie wpływać na jakość przekazywanych do użytku mieszkań. Chemia przy każdej okazji demonstruje swoje propozycje wzbudzające powszechne uznanie i zachwyt, ale proszę rozejrzeć się po nowo oddawanych mieszkaniach i stwierdzić, co z tego znajduje zastosowanie w praktyce. Nadal dominuje drzewo i metal, a stosowane wyroby przemysłu chemicznego można policzyć na palcach obu rąk. A przecież wydawałoby się, że postęp techniczny stosowany u kooperanta powinien przyczyniać się do poprawy jakości nowych mieszkań.

W transporcie wiadomo, że wielkim ułatwieniem jest wprowadzenie kontenerów. Swego czasu na stacji przeładunkowej w Warszawie przez 39 dni kontenerów nie ładowano, a tylko dlatego, że temperatura powietrza niższa była od 0 st. Do przeładowywania kontenerów nie wystarczą już ludzkie mięśnie, a w potrzebnym urządzeniu marki „Jones" krajowy producent dokonał usprawnienia zastępując metalowe przewody systemu pneumatycznego przewodami plastykowymi. Uzyskane w ten sposób oszczędności okazały się pozorne.

W tych wszystkich — zdawałoby się — różnych przykładach, bez większego wysiłku można znaleźć wspólny mianownik. Nowoczesna technika, gdzie by ona nie występowała, wymaga zerwania z tradycyjnym myśleniem, z zastarzałymi nawykami. Wymaga natomiast takiej organizacji pracy i takich sposobów działania, aby walory nowoczesności można było z powodzeniem wykorzystywać dla poprawy jakości produkcji. Przy nowoczesnej technice, przy większej szybkości maszyn, przy ich większym skomplikowaniu mały błąd i drobne niedopatrzenie odbija się zwielokrotnionymi skutkami.

MARCIN RODAK

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652 44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Nr indeksu 26762.
Zam. 2394, W-11.